WIDNOKRĄG

18 (852)
9 WRZEŚNIA 1986 R.
RZESZÓW

• KULTURA • NAUKA • OŚWIATA •

Wstępna szpalta

CHCIELI — CHCĄ — DZIAŁAJĄ

„Sęk" — Klub Twórców Kultury w Mielcu — znany jest ze swoich inicjatyw i dokonań w sferze upowszechniania kultury szczególnie wśród młodzieży. Powstały przy Zarządzie Fabrycznym ZSMP WSK PZL przed kilkoma laty, rozszerzył szybko swoją działalność na całe miasto i rejon, wyszedł z fabryki do środowiska i zyskał nie tylko uznanie, ale również szeroki oddźwięk pośród młodzieży pracującej i uczącej się. Patronat ZSMP, a później także NSZZ Pracowników WSK PZL, umożliwiał Klubowi coraz szerszy zasięg kulturotwórczych poczynań. Pisałem o tym niejednokrotnie, udzielałem, również poparcia i pomocy z ramienia rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, mam więc wyrobiony pogląd na awangardową niejako w naszym regionie działalność młodych entuzjastów z Mielca. Działalność ta, wielokierunkowa (o szeroko pojętą kulturę wszakże chodzi), daje coraz lepsze wyniki, rodzi też nowe inicjatywy. Ostatnia zaś świadczy o rozmachu na szerszą skalę.

Rozpoczęło się w Mielcu Ogólnopolskie Forum Młodych Twórców Kultury. Patronują mu Zarząd Główny ZSMP, rzeszowski Oddział ZLP, Rada Krajowa KKMP i Urząd Miejski w Mielcu, a współorganizatorami są instytucje i organizacje w liczbie piętnastu.

Program Forum zawiera różnorodne imprezy. Mamy więc spotkania redakcji „Płomyczka" z najmłodszymi czytelnikami, spotkania literackie i dziennikarskie, wystawy plastyczne, warsztaty literackie, dyskusje, wyjazdowe posiedzenia Rady Krajowej KKMP oraz IV Mielecką Noc Poetów, podczas której wręczone zostaną nagrody laureatom tegorocznego konkursu literackiego o „Laur Sęka".

Bogata oferta Forum, pierwszej tego rodzaju imprezy w naszym regionie, jest świadectwem prężności młodego środowiska, jego dążeń do zaspokajania potrzeb kulturowych kilku pokoleń. Nie jest to przesada, bowiem „Sęk" wychodzi ze swymi propozycjami zarówno do starszej młodzieży, jak też do uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, współpracuje z dyrekcjami szkół, zakładów pracy, placówek kulturalno-oświatowych, z klubami prasy i książki. Przy „Sęku" działają: Mielecki Klub Młodych Pisarzy, zespół wokalno-muzyczny, recytatorski, plastyczny, fotograficzny etc.

Na ostatnim Walnym Zebraniu wybrano nowe władze (przewodniczącym został ponownie Janusz Czajowski), podjęto też uchwałę o wystąpieniu do władz z wnioskiem o zarejestrowanie „Sęka" jako stowarzyszenia o osobowości prawnej.

W projekcie statutu czytamy, iż Klub działa pod patronatem ZSMP i NSZZ WSK — PZL, a jego działalność ma na celu rozwijanie działalności społeczno-kulturalnej w zakładach pracy i szkołach, współudział w prognozowaniu zamierzeń kulturotwórczych, współpracę z instytucjami i organizacjami kulturalnymi, organizowanie imprez kulturalnych i oświatowych, współtworzenie grup artystycznych, kół zainteresowań, promowanie młodych talentów, publikacje itp.

Jak zwykle w takich przypadkach, już u zarania działalności „Sęka", powstały pewne wątpliwości. Istnieje przecież w Mielcu Robotnicze Centrum Kultury, istnieje Klub Środowisk Twórczych Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej, istnieją Miejski Ośrodek Kultury i Spółdzielczy Dom Kultury, po co zatem nowy, o podobnych założeniach, organizm. Rychło przekonano się, że „Sęk", jak to się mówi, „nie wchodzi nikomu w paradę", że jest jeszcze jednym animatorem kultury, a takich chyba nigdy za dużo. Najaktywniejsi członkowie i działacze ZSMP pragną jedynie wnieść swój własny wkład do pobudzania życia kulturalnego, do zaspokajania ambicji i rozwijania talentów młodych ludzi.

Dotychczasowe osiągnięcia, choć działacze „Sęka" nie lubią używać tego terminu, przekonały sceptyków i dzisiaj Klub jest już równorzędnym partnerem władz i instytucji mieleckich w pobudzaniu potrzeb kulturalnych i uczestnictwa w kulturze.

Jest w naszym regionie kilka miast do Mielca podobnych: z przemysłem, siecią szkół o różnych kierunkach, z bazą kulturalną, a jednak brakuje w nich inicjatyw młodzieży. „Zielone światło" — jakie przed młodzieżą zapaliły uchwały partyjne i przygotowywane akty prawne — świeci już wprawdzie, ale ciągle istnieją jak gdyby obawy przed wykorzystaniem go do ruszenia naprzód. Młodzi mielczanie nie czekali na zielony błysk. Uważali, iż powinni działać, gdyż kulturotwórczy obowiązek wynika ze statutu ZSMP. Nic dziwnego też, że zarówno Zarząd Miejski, jak i Zarząd Fabryczny ZSMP znalazły się wśród najlepszych w skali krajowej.

Często słyszy się w środowiskach młodzieżowych narzekanie na przeszkody, jakie byłyby do pokonania, gdyby zechciały „coś robić". Słyszy się też żądania: jeśli dostaniemy to i to, zaczniemy działać, jeśli dadzą nam, jeśli pomogą, jeśli zainteresują się — to my wtedy ho, ho! Nie precyzuje się dokładnie, kim mają być ci dający, pomagający, zainteresowani, ale wiadomo, że chodzi o władze lokalne, o instytucje, placówki różnego rodzaju. Mało gdzie wpada się na pomysł, aby najpierw „coś zrobić", coś, co odbiłoby się jakimś rezonansem, a później powiedzieć: stać nas na więcej, lecz brakuje nam tego i tego.

Wydaje się, że tak właśnie uczynili założyciele „Sęka". Bez własnego lokalu, bez funduszy. Kiedy udowodnili, że swoją działalność traktują serio, długoplanowo, znalazło się poparcie, także finansowe. Lokalu wprawdzie nadal brakuje i nawet własne imprezy odbywają się na zasadzie wynajmu, czy sublokatorstwa, ale sądzę, że Mielec wygospodaruje dla swoich najmłodszych współorganizatorów najszerzej pojętego życia kulturalnego tzw. bazę lokalową. Jest to niezbędne, gdyż poczynania „Sęka" są coraz szersze, przekraczają granice miasta i regionu, jak choćby konkursy literackie, fotograficzne, plastyczne. Jak choćby ostatnie przedsięwzięcia — Ogólnopolskie Forum Kultury Młodych. ZBIGNIEW KREMPF

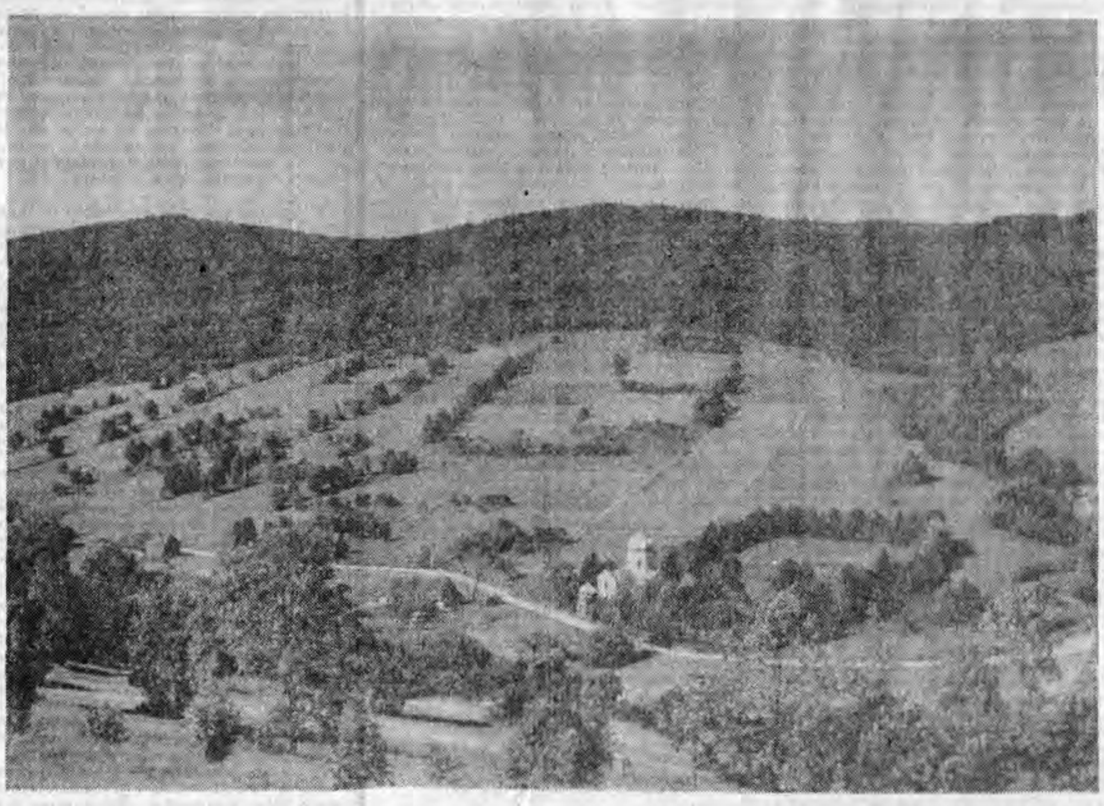

Widok na pętlę z Magury Małastowskiej. *Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI*

Julian Przyboś

PÓKI MY ŻYJEMY

Huk armat na wysokość lun
wzrósł,
niebo wali się z trzaskiem.
Bezbronny, wbity pociskami w grunt
błagam o karabin, jak skazaniec o łaskę,
i tylko krzyczę — niecelnie,
z rannych i z martwych wstawszy.
Mój wzrok po torach bomb strącony
w gruz
przypada do Warszawy.

Aż w rozpękły na dwoje słuch
płacz mężczyzn wpadł — i ich, jak nabój,
milczenie.

W tej chwili zginął mój brat.
Żegnam was, unoszący za granicę głowy,
uciekający do broni,
gdy tu, w rozwalonym schronie,
z jeszcze żywych ostatniego tchu
odtworzyłbym nasz hymn narodowy.

Publikujemy fragmenty jednego z rozdziałów książki Karola Skrzypka „PODKARPACKIM SZLAKIEM WRZEŚNIA", która nakładem Wydawnictwa „Śląsk", ukazała się niedawno na półkach księgarskich. Autor, wówczas 19-letni plutonowy podchorąży przebył, jako żołnierz 4 Pułku Strzelców Podhalańskich, szlak bojowy Armii Karpaty od Cieszyna do Lwowa. Jest to sumienna relacja z walk na jednym z frontów kampanii wrześniowej.

Karol Skrzypek nie miał wprawdzie możliwości ogarnięcia w swym pamiętniku szerszego obrazu poczynań Armii Karpaty, gdyż jako plutonowy podchorąży niewiele mógł wiedzieć o tym, co działo się poza sferą jego osobistych doświadczeń. Ale właśnie dlatego jego relacje tchną autentyzmem, pozwalają oglądać wszystkie perypetie frontowe z bliska. Widzimy razem z autorem walkę o Nowy Sącz i Grybów, pierwszy bój Karola Skrzypka pod Bieczem, walki w Jaśle, bitwę pod Birczą i zmagania o przebicie się do Lwowa w Lasach Janowskich. Książkę uzupełnia posłowie Ryszarda Daleckiego, który omawia szkicowo całokształt działań Armii Karpaty w kampanii wrześniowej.

Karol Skrzypek

BÓJ POD BIRCZĄ

WCZESNYM RANKIEM, 12 września ruszyliśmy marszem ubezpieczonym w kierunku przeciwległego stoku i zajęliśmy podstawę wyjściową do natarcia. Po drodze, nie opodal cerkiewki, ujrzeliśmy na pozycji czterodziałową baterię artylerii. Obserwator z telefonistką dołączył do nas. Przed nami na wyniosłym zalesionym grzbiecie trwała już zacięta walka, o czym świadczy intensywny odgłos strzałów z broni maszynowej i ręcznej.

Posuwamy się stromym jarem w górę wznoszącego się przed nami grzbietu. Towarzyszący nam ciężki karabin maszynowy ma zająć stanowisko na wzgórku w prawo od jaru, a my dwaj z Tomczakiem mamy go osłaniać. Obsługa ustawiła ckm na szczycie wzgórza, skąd roztacza się widok na stromo opadające łąki i skraj gęstego lasu. A kompania posuwała się jarem coraz wyżej w górę, aż wreszcie znikła nam z oczu. Ogień mamy otworzyć w razie wyjścia nieprzyjaciela z lasu w naszym kierunku. Po chwili pojawił się w pobliżu nas obserwator artyleryjski, a za nim żołnierz ciągnie linię telefoniczną, którą natychmiast uruchomił. W dole, nieco w tyle za nami, na łagodnym przeciwstoku leży znana nam już od wczoraj wieś, z jej drewnianymi domkami, nieregularnie rozrzuconymi i okazała cerkiewka, której cebulasta mosiężna kopułka lśni i mieni się we wschodzącym słońcu. Na górze grzbietu strzelanina coraz gwałtowniejsza, potem cichnie, za chwilę cały zgiełk przenosi się do leżącego w dole przed nami lasu. Czyżby Niemcy ustąpili i nasi zmienili kierunek natarcia? Nic nie wiemy, nic nie widzimy. Kapral, dowódca cekaemu niecierpliwi się, chciałby się czynnie włączyć do akcji, a tu jak dotychczas brak celów. Oficer artylerzysta, który leży w kartoflisku kilkadziesiąt metrów od nas, coś tam mówi przez telefon i po chwili, od strony wsi słychać odgłos wystrzału armatniego, a nad naszymi głowami znajomy szum. Jak przyjemnie tym razem odbiera to moje ucho — to przecież własny pocisk. Wybuch następuje daleko w lesie przed nami. I jeszcze kilka pojedynczych strzałów armatnich, a potem cała salwa, jedna, druga, trzecia.

Pojawia się znów samolot obserwacyjny. Krąży nisko chwilę nad nami, potem dłuższy czas nad wsią. Żarnowiecki ze złością strzela do samolotu z karabinu — nie ma to oczywiście sensu, ale twierdzi, że w taki właśnie sposób zestrzelony został pojedynczym strzałem z francuskich okopów słynny niemiecki lotnik myśliwski I wojny światowej von Richthofen.

Ta wizyta samolotu wkrótce spowodowała fatalne następstwa. Niemcy rozpoczęli najpierw pojedynczy, a potem kilkoma bateriami ostrzał artyleryjski skierowany na nas, następnie bezpośrednio na nasze wzgórze, a w końcu na wieś. Runęła na nas prawdziwa ulewa granatów i szrapneli. Wryłem się w bruzdę kartofliska nie podnosząc nawet nosa. Obserwator coś głośno przekazywał przez telefon i znów się odezwała ze wsi nasza bateria, strzelając salwami szybko jedna po drugiej. Grzmiało piekielnie. W pewnej chwili, gdy nad naszymi głowami rozległ się szum pocisków, obejrzałem się w kierunku wsi. Trafienie nastąpiło wprost w cerkiewkę, która w tej samej chwili stanęła w płomieniach. Słup ognia ogarnął ją całą, a wokół niej biegały bezradne ludzkie figurki. Jeszcze kilka salw nieprzyjacielskich w okolicę płonącej świątyni i nasza bateria umilkła. Trochę z lękiem, trochę z ciekawością czekałem na dalszy rozwój wypadków.

I stało się to, co było zawsze konsekwencją przewagi ogniowej wroga. Jego energiczne przeciwnatarcie. Las się nagle ożywił, wybuchła gwałtowna strzelanina, ogień artyleryjski nieprzyjaciela przerzucił się na skraj lasu, potem na wzgórze i grzbiet, na który nacierała kompania podhalan, i znów na wieś, która już niemal cała płonęła. Istne piekło! Na skraju lasu, w odległości około 500 metrów od nas, pokazało się kilka sylwetek ludzkich, potem wyskakują dalsze. Strzelają w las. Cofając się coraz bardziej w naszym kierunku, odgryzają się niewidzialnemu nieprzyjacielowi. Sylwetki zbliżają się do nas coraz bardziej, widać już czerwone z wysiłku twarze. Nikną na chwilę w martwym polu stoku, za dużym uskokiem. I w tej chwili odzywa się już kilka nieprzyjacielskich km-ów, jeden strzela wprost na nas. Pociski wzbijają w kartoflisku fontanny ziemi i kurzu, gwiżdżąc wstrętnie. Nasz ckm strzela teraz długimi seriami w skraj lasu. Tak, już tam widać błyszczące, garnkowate hełmy. No i mamy bezpośredni pojedynek broni maszynowej. Strzelam także ja w kierunku lasu. A artylerzysta zwija błyskawicznie swój punkt i znika. Naraz ogień piechoty nieprzyjaciela przybiera na sile. Nasz ckm strzela ogniem ciągłym już chyba trzecią taśmę. Za chwilę braknie mu amunicji. Obsługa miała tylko cztery skrzynki amunicyjne. Zza uskoku wyskakuje, pod osłoną ck-mu najpierw kilka, potem coraz więcej sylwetek i biegnie ku nam. Tuż przede mną wyłania się postać tęgiego kapitana, jest cały spocony, niemal siny z wysiłku. Znam go z widzenia, był w batalionie mjr. Dembowskiego. Skąd on teraz tu? Naraz pada. Myślę, że został trafiony — ale to było tylko zmęczenie. Cała ta grupa żołnierzy KOP znalazła się po naszej stronie wzgórza. Ale ogień nie ustaje. Kapitan, sapiąc ciężko, dziękuje nam za osłonę i mówi, że niemal cała, słaba już zresztą, jego kompania została rozbita w tym przeklętym lesie przez przeważającego znacznie nieprzyjaciela, który najpierw cofał się mocno, a potem okrzepł i wzmocniony odwodami, przeciwnatarł gwałtownie na naszych. W tej chwili jednak nie ruszał się dalej w naszym kierunku, a nawet wydaje nam się, jakby się nieco cofnął od skraju w głąb lasu. Ogień przycicha.

Wieś wciąż płonie. Mieszkańcy, którzy częściowo ukryli się przed ogniem artylerii w okalającym wieś lesie, wracają teraz, i głośno rozpaczają. Żar od płonących zabudowań bucha straszny. Przechodzimy, kryjąc od ciepła twarze w dłoniach. Przed jednym z płonących domostw stoi konik wiejski, z oderwaną przez odłamek granatu nogą. Rży żałośnie, patrzeć na to nie mogę. Podchodzę i z bliska, drżąc wewnętrznie, strzelam między smutne oczy. Osuwa się wolno na ziemię.

Idąc dalej, dochodzimy do miejsca, gdzie było stanowisko baterii. Zastajemy tu straszliwe pobojowisko. Dookoła leży kilkanaście trupów artylerzystów, ich ciała są potwornie zmasakrowane. Jeden zabity z rozerwaną czaszką i wypłyniętym mózgiem, wyglądał szczególnie przerażająco. Kilka zabitych koni wala się na ziemi, przewrócony jaszcz, sterczy w górę, a obsługa baterii usiłuje zaprzęgnąć działa i wyciągnąć je z tego pogromu. Widocznie trafiła w sam środek ich stanowiska cała salwa z nieprzyjacielskich dział.

Gdzie tu iść — jesteśmy znów całkiem sami. Decydujemy się na marsz znaną nam dróżką leśną w kierunku szosy na Przemyśl. Po kilku godzinach samotnego marszu, przy oddalającym się akompaniamencie ognia artylerii i piechoty, docieramy do miejsca, gdzie wczoraj dołączyliśmy do kompanii podhalan z 1 psp. Ruszyliśmy więc w ciemną noc, wpółprzytomni, zobojętniali na wszystko. Po dłuższym marszu, widzimy przy drodze kilka domostw. Tłukąc w drzwi pierwszej z brzegu chałupy, obudziliśmy gospodarza, który w bieliźnie otwiera nam i wpuszcza bez protestu do środka. To Ukrainiec. Od razu wie, o co chodzi, i z uśmiechem przynosi wiązkę słomy do izby, rozkłada ją i każe nam spokojnie spać. Obiecał obudzić nas wcześnie rano, tak, aby, jak powiada, „Niemcy was nie złapali". Co za cudowne spanie, wprawdzie w mundurze i obuwiu, ale na miękkiej słomie i w ciepłej izbie. Zasypiamy kamiennym snem.

Wczesnym rankiem 13 września, budzi nas gospodarz i częstuje gorącym mlekiem i ugotowanymi ziemniakami. Patrzymy trochę przestraszeni przez okno. Ale na szczęście nie Niemcy — lecz luźne grupki naszego wojska maszerują drogą. Zbieramy się szybko i dołączamy do maszerujących. Droga jest wąska, wiedzie wzgórzami, nawierzchnia nierówna. Na poboczach i w rowach wala się sporo sprzętu i skrzynek amunicyjnych, wypatrzyłem nawet ciężki karabin maszynowy typu Hotschkis.

Jest także ruch wojska w kierunku przeciwnym naszego marszu. Zatrzymaliśmy się zmęczeni kilkugodzinnym marszem, przed grupą jednorodzinnych, murowanych domków. To już przedmieście Przemyśla. Widać stąd nawet w dole miasto, dachy domów, wieże kościołów.

Marsz trwał cały wieczór i całą noc. Nie wiemy nic bliższego o jego kierunku i celu. Podobno idziemy na Medykę. Senność ogarnęła mnie nieodparta — gramolę się na taczankę i zasypiam natychmiast.

Rankiem 14 września, obudził mnie ppor. Bielec i stwierdził, że w nocy wpakowaliśmy się w jakąś ogromną kolumnę taborów. Kompanie strzeleckie jakoś się przepchały do przodu, także większa część kompanii ckm z biedkami — a my z naszą trzykonną taczanką utkwiliśmy w tej obcej kolumnie, która na domiar stanęła i ani nam zjechać na bok, ani się cofnąć — słowem — sytuacja fatalna. I jeszcze dla dopełnienia naszego zmartwienia zaczyna się ogień artylerii nieprzyjacielskiej. Granaty padają w środek kolumny, widać już w odległości kilkuset metrów od nas rozbite wozy, zabitych ludzi i padłe konie...

Zjechaliśmy z taczanką w pierwsze napotkane skrzyżowanie i polną, wąską drogą, a potem na przełaj omijamy zator. Kilka wozów taborowych usiłowało nas naśladować. Niektóre widocznie obładowane mocno amunicją ugrzęzły w rżyskach. Mordęga ta trwa cały dzień. Wreszcie, pod wieczór zatrzymaliśmy się w jakiejś przydrożnej stodole i biwakujemy. Ogarnia nas twardy sen.

Adam Łazar

NAUCZYCIELE Z PASJĄ

Walkę o lepszą szkołę wygrają nauczyciele z pasją. Nie tylko dobry polonista, fizyk, nauczyciel zawodu... ale nauczyciel języka polskiego, a przy tym pasjonat teatru, piękna języka, znawca kina. Nie tylko historyk, ale i dobry przewodnik po muzeum, miejscach pamięci narodowej, znawca historii regionalnej.

Szkole potrzebny jest nauczyciel i wychowawca w jednej osobie, animator jakiegoś wycinka szkolnego życia, nie tylko tego oficjalnego, raczej nieformalnego, ale mającego wielkie możliwości oddziaływania wychowawczego i poznawczego, możliwości wiązania dziecka ze szkołą.

Tacy nauczyciele pracują w lubaczowskich szkołach. Rozmawiam z tymi, których pasją są zajęcia kulturalne. Szukam odpowiedzi na pytanie: dlaczego to robią? Dlaczego wybrali tę a nie inną dziedzinę kultury? Czy mają satysfakcję z tej pracy?

Szkoła Podstawowa Nr 1 w Lubaczowie uczestniczy w życiu kulturalnym miasta i regionu. Dzieci swoimi występami uświetniają uroczystości z okazji świąt państwowych. Występują nie tylko w lubaczowskim domu kultury, ale i świetlicach wiejskich w okolicznych gminach. Wraz ze zdobytym doświadczeniem powiększał się repertuar w zakresie muzyki, tańca, małych form scenicznych aż doszło do powstania teatru żywego słowa. Prowadzi go polonistka mgr Anna Argasińska. Z 12-letnimi aktorami przygotowała inscenizację „Kopciuszka", który na Konfrontacjach Amatorskich Zespołów Teatralnych w Miejskim Ośrodku Kultury w Lubaczowie otrzymał „Złotą Maskę", a w wojewódzkim przeglądzie teatrzyków dziecięcych „Tropem Jasła i Małgosi" w Birczy nagrodę za reżyserię. O swojej pracy nauczycielka tak mówi:

— Lubię swobodne, pozalekcyjne formy kontaktu z dziećmi. Widzę wtedy odmienne twarze swoich wychowanków, poznaję inne ich możliwości niż na lekcjach. Teatralne formy pracy z młodzieżą to dalszy ciąg systematycznego procesu dydaktycznego z języka polskiego, to nauczanie przez przeżywanie, tworzenie własnych kreacji, ale przede wszystkim doskonalenie polszczyzny przez kontakt z żywym, pięknym słowem. Sięgnęliśmy do klasyki ponieważ jest źródłem niewyczerpanych możliwości. Przekonałam się, że na tekście klasycznym można z pełnym powodzeniem nauczyć dzieci wrażliwości na harmonię słów, wskazać ponadczasową wartość ukrytych treści — a więc wychowywać. „Kopciuszek" rozbudza, odświeża wyobraźnię, inspiruje, a może nawet spełnia głęboko skrywane marzenia? Któż dziś nie ma kompleksu Kopciuszka? Ilu nauczycieli wzrusza się widząc po latach „kopciuszka" z ostatniej ławki zamienionego w osobę na odpowiedzialnym stanowisku?

Młodzi adepci sztuki teatralnej i jej opiekunka mają już poza sobą występ w telewizyjnej „Sobótce".

Uczestnicy galowego koncertu Przeglądu Kulturalnego Szkół — Przemyśl-86 mieli możliwość podziwiać umiejętności par tańca towarzyskiego z kółka tanecznego działającego w Szkole Podstawowej Nr 1, a prowadzonego przez nauczycielkę fizyki mgr Małgorzatę Krupę. Uczy drugi rok, zespół taneczny prowadzi pierwszy rok i od razu sukcesy.

— Lubię taniec. Podobał mi się od chwili, kiedy mamusia zaprowadziła mnie na zajęcia rytmiczne. Tańczyłam w Liceum Ogólnokształcącym w Lubaczowie, a potem w zespole tańca ludowego działającego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Tańczę w nim do dnia dzisiejszego — zwierza się pani Małgorzata.

Ukończyła kurs choreografii I stopnia, uczęszcza obecnie na 3-letni kurs II stopnia przy WDK w Rzeszowie. Na próby zespołu i kurs jeździ z Lubaczowa 2 razy w tygodniu na własny koszt. Zdobyta wiedza i umiejętności procentują w postawach i sztuce tańca najmłodszych.

Inżynier Ryszard Kaczor jest nauczycielem pracy—techniki, ale bez reszty oddaje się muzyce. Już ponad 20 lat nie rozstaje się z akordeonem. Kiedy Katarzyna Szajowska prowadziła chór szkolny, wówczas jej akompaniował. Po jej śmierci objął chór, który prowadzi do dzisiaj. Prowadzi także zespół wokalny i muzyczny. Zmieniają się członkowie zespołów, instrumenty, melodie, tylko on niezmiennie wierny jest muzyce.

— Wprowadzam nowe instrumenty: flety proste, dzwonki chromatyczne, mandoliny, gitarę elektryczna. Poszukuję ciągle nowego repertuaru. Gramy i śpiewamy najczęściej dla dorosłych, stąd w rytmie i treści muszą to być piosenki poważne, często stare przeboje. Grają młodzi i ich gusty też muszę zaspokajać, ucząc ich nowych przebojów, rytmów. Praca moja polega na godzeniu tej dwuistości, na unowocześnianiu, poszukiwaniu, adaptowaniu utworów muzycznych, piosenek. To mnie pasjonuje i daje zadowolenie — mówi pan Ryszard.

Mgr Barbara Thieme — polonistka w Szkole Podstawowej Nr 2 w Lubaczowie — przed trzema laty założyła teatr form plastycznych „Magapar". Premierowe przedstawienie „Opowiadanie króla Wysp Hebanowych" oparte na motywach baśni B. Leśmiana, obejrzała młodzież nie tylko Lubaczowa, ale i Birczy, Lublina, Nowej Huty.

„Magapar" brał udział w II Ogólnopolskim Forum Teatrów Dzieci i Młodzieży Szkolnej w Lublinie zajmując I miejsce i reprezentował region w konkursie krajowym w Poznaniu, wystąpił w telewizyjnej „Sobótce", gościnnie został zaproszony w tym roku na X Wojewódzkie Prezentacje Teatrów Szkolnych w Lublinie oraz w roku ubiegłym wystąpił w Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach. Wszędzie budzi kontrowersje, wątpliwości i opinie, że jest teatrem unikalnym, trudnym w odbiorze, dziwnym, niezrozumiałym. Wątpliwości wyjaśnia Barbara Thieme: — Prowadzę teatr form plastycznych dlatego, że głównie interesuje mnie plastyczna wizja teatru, bardziej widzę słowo niż je słyszę. Każde słowo ma dla mnie swoją barwę, swój ruch czy całą sytuację ruchową, narzuca także określony rodzaj muzyki. Stąd w moich przedstawieniach muzyka trwa prawie nieustannie. Opieram się w głównej mierze na muzyce elektronicznej, wykorzystuję nagrania zespołu „Pink Floyd", J. M. Jarre'a, J. Vangelisa, M. Bilińskiego, T. Bairda. W moim teatrze ruch, taniec sceniczny, ruchome dekoracje, muzyka, światło wysuwają się na plan pierwszy. Warstwa słowna ogranicza się do niezbędnej informacji. Świadomie liczę na emocjonalną i intelektualą współpracę widzów, tym bardziej że wiele scen jest niedopowiedzianych i odbiorca zmuszony jest do właściwego dopełnienia ich, na tyle, na ile pozwala mu na to własna wyobraźnia, a tym samym cel teatru — pobudzenie wyobraźni, intelektu u widzów — jest spełniony. Opinie po spektaklu są kontrowersyjne i to jest wspaniałe! Na pewno jest to teatr niekonwencjonalny. Często traktuje się dziecko—widza tak, jakby było ono na bardzo niskim poziomie intelektualnym, zapomina się o tym, że zasób wiadomości, proces kojarzenia, sposób odbierania różnych form sztuki jest nieporównywalnie wyższy niż kiedyś, dlatego karmienie dzieci gotową „papką teatralną", robienie z nich widzów biernych zamiast aktywnych — jest dla mnie sprawą zupełnie niezrozumiałą. Teatr powinien pobudzać widza, zmuszać go do twórczego myślenia i taką rolę spełnia Teatr Form Plastycznych „Magapar".

Mgr Grażyna Bielec jest wychowawczynią w internacie Liceum Ogólnokształcącego w Lubaczowie i od 12 lat prowadzi teatr małych form scenicznych. Jak wynika z kroniki zespołu przygotował on 23 programy poetyckie. Zespół zdobył „Srebrną Maskę" w I Ogólnopolskim Forum Teatrów Szkolnych w Poznaniu, „Srebrną Misę Borowiny" w Horynieckiej Biesiadzie Teatralnej, 6 miejsce i wyróżnienie w finałach Ogólnopolskiego Konkursu Poezji i Prozy Radzieckiej. Dwóch członków zespołu brało udział w zdjęciach próbnych do filmu A. Wajdy. Andrzej Warcaba studiuje w szkole teatralnej, a Marta Saramaga teatrologię. Pani Grażyna na pytanie — dlaczego to robi? odpowiada krótko: — To bardzo lubię.

Adam Maćko jest nauczycielem zawodu w Zespole Szkół Zawodowych w Lubaczowie i tam od kilku lat prowadzi zespół tańca ludowego. Nie ma przygotowania fachowego w tym zakresie, a zaproszenie do udziału w warsztatach artystycznych organizowanych przez ZG ZMW w Nowej Hucie przyjął z zadowoleniem. Tańce i przyśpiewki z Rzeszowskiego w wykonaniu zespołu są często oklaskiwane w lubaczowskim domu kultury.

Udział młodzieży lubaczowskich szkół w sztuce jest dość powszechny, a szkoły posiadają znaczny dorobek w edukacji kulturalnej. Zasługa to nauczycieli, którzy krzewią wartości kultury wśród młodzieży, oraz dyrekcji szkół, które wspierają tę działalność. Społeczny ruch artystyczny jest szansą na ocalenie folkloru, na rozbudzenie kulturalne przyszłych pokoleń, od czego zależy jakość naszego życia także w sferze gospodarczej i materialnej. Jak twierdzi przewodniczący Narodowej Rady Kultury prof. Bogdan Suchodolski „kultura jest ważną rzeczą w życiu człowieka, bo go czyni człowiekiem". I o tym pamiętają w Lubaczowie.

O lewicy, katolikach i polskim problemie nr 1

Odłóżmy spory... zajmijmy się życiem

Rozmowa z profesorem MARIANEM STĘPNIEM z Uniwersytetu Jagiellońskiego — literaturoznawcą, redaktorem naczelnym „Zdania".

— Wielokrotnie pisał pan Profesor o lewicy intelektualnej, wskazując na jej szczególną powinność kreowania ważnych społecznie wartości i postaw. Ale od kogo konkretnie oczekiwać spełniania tej trudnej roli?

— Toczą się dyskusje na temat: co to jest lewica, w tym lewica intelektualna. Próbowałem i ja z grubsza określić, co rozumiem pod tymi pojęciami. Obserwuję jednak z pewnym dystansem te spory teoretyczno-terminologiczne. Dostrzegam w nich jakieś cechy scholastyczne, doktrynerskie; jako kryteriów i argumentów używa się bowiem najczęściej, a niekiedy wprost wyłącznie, sformułowań klasyków marksizmu-leninizmu. Wolę brać od Marksa postulat otwartego stosunku do świata, metodę analizy zjawisk społecznych niż rozważań, czy moje myśli są zgodne z jego poszczególnymi twierdzeniami. Uważam, że nie ta zgodność jest najważniejsza, ale to, czy i w jakim stopniu określone poglądy pomagają zrozumieć i rozwikłać nasze problemy.

W środowisku polskiej lewicowej inteligencji dostrzegam różnorodne zakręty i manowce. Wolałbym jednak wyjścia z nich szukać poprzez skupianie się i organizowanie naszej energii wokół koniecznych, socjalistycznych zadań społecznych niż toczyć — często dość jałowe — spory teoretyczne. Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie uważam tych sporów za niepotrzebne, ale — po przejściach i przeżyciach z ostatnich lat — odsuwam je na dalszy plan.

— Postulat wyzwalania i organizowania społecznej energii, upowszechniania socjalistycznych wartości należałoby, moim zdaniem, zaadresować w dużym stopniu do środowiska literackiego. Uważam bowiem, że istnieje przepaść między potrzebą, o której mówimy, a tym, co nasza najnowsza literatura ma do zaproponowania. Taki wniosek wynika także z napisanego przez Pana ostatniego rozdziału „Historii literatury polskiej".

— Poruszyła pani temat na osobną rozmowę. Odpowiem więc anegdotą. Przyjechała do mnie pewna doktorantka z Moskwy, która zbierała materiały do tematu „Bohater pozytywny w literaturze polskiej lat siedemdziesiątych". Niestety, odjechała zawiedziona. Nie mogłem jej pomóc, bo takim kluczem nie otworzymy istotnych pokładów naszej współczesnej literatury. Nie kreuje ona bohaterów pozytywnych, za to jest pełna nieudaczników, neurasteników, młodych sfrustrowanych i rozczarowanych, pesymistów, straceńców, narkomanów i pijaków, ludzi przedwcześnie psychicznie postarzałych, przeżywających depresje i zwątpienia. Ale nie winiłbym literatury za stan psychiczny i moralny Polaków, nie upatrywałbym też w niej wielkich możliwości wyzwalania społecznej energii. Bo to nie jest tak, że jak przeczytamy w książce o bohaterze dzielnym i prężnym, to zaraz sami zechcemy tacy być...

— A jednak taka mobilizująca funkcję stara się pełnić z dużym powodzeniem na przykład literatura radziecka. Pokazuje ona człowieka, który broni podstawowych ludzkich wartości w najtrudniejszych, często tragicznych okolicznościach.

— Tak, jest w niej klimat, który różni tę literaturę od naszej: klimat dzielności moralnej, mimo również niemałych tragedii, wbrew porażkom i rozczarowaniom osobistym. U nas takiego klimatu nie ma, jest za to pesymizm i rozpacz. I rzeczywiście, można dostrzec podobieństwo między tą cechą naszej literatury współczesnej a brakiem moralnej dzielności w życiu społecznym.

Ale w dyskusji o energii Polaków chodzi przecież nie tylko o literaturę, a w ogóle o działania, które powinny wyzwolić chęć zbiorowego czynu. I tutaj dotykamy bardzo głębokich warstw naszego kryzysu, który jest według mnie także kryzysem moralnym. Powoduje on uczucie spętania, atrofię woli, przerost zwątpienia i brak chęci do działania. Gdyby energia Polaków wyzwoliła się i zorganizowała w ciągu ostatnich 5 lat, to bylibyśmy dziś o wiele bliżej spełnienia naszych pragnień i oczekiwań.

Co i kto przeszkadza dzisiaj w wyzwalaniu energii społecznej? Przede wszystkim dużą rolę odgrywają tu dotychczasowe doświadczenia. Wykorzystuje to opozycja polityczna oraz propaganda zachodnia. Duże szkody wyrządza niejednolita postawa Kościoła, bo wielu księży podtrzymuje niechęć do wspólnego działania. Udzielają się wahania tych intelektualistów, którzy dotąd nie zdecydowali: sprzyjać czy nie poczynaniom władzy.

— W interesującym artykule po drugiej wizycie papieża w Polsce napisał Pan m. in., że pozycja i działalność Kościoła w naszym kraju jest wyzwaniem dla partii. Czy chodzi tutaj o rywalizację czy dialog? Czy w dziedzinie stosunków wierzący — niewierzący, katolicy — marksiści dostrzega Pan rezerwy, które mogłyby wyzwolić energię Polaków?

— Trzeba wskazywać płaszczyzny współdziałania ludzi, niezależnie od ich światopoglądu, w imię odzyskiwania i pomnażania wartości ważnych dla wszystkich Polaków. Mówiliśmy o tym w „Zdaniu" przy okazji niedawnej dyskusji katolików z marksistami.

Największym wyzwaniem dla partii ze strony Kościoła jest to, że zawłaszcza on robotnicze, socjalistyczne idee, takie jak: godność człowieka, wyzwolenie pracy, sprawiedliwość społeczna. Przecież nie Kościół pierwszy postawił je na porządku dziennym, lecz ruch robotniczy w proteście przeciw niesprawiedliwemu ustrojowi społecznemu, wspieranemu między innymi przez ten sam Kościół. Odpowiedzią na to wyzwanie powinno być upomnienie się przez lewicę i polski ruch robotniczy o te wartości. A to znaczy przede wszystkim, że trzeba przywrócić im blask w praktyce społecznej.

— Gdyby, na koniec, miał Pan Profesor wskazać polski problem numer 1, wokół którego wszyscy powinniśmy się skupić, niezależnie od przekonań...

— Polsce grozi dziś jakaś ogólna degradacja. Mnoży się chamstwo, stajemy się społeczeństwem niekulturalnym, ponurym, nieżyczliwym sobie, niedomytym, zaniedbanym i to w sposób nie dający się usprawiedliwić naszymi trudnościami obiektywnymi. Godzimy się z niegrzeczną obsługą w sklepie, z pijaństwem, arogancją, z powszechną niepunktualnością i niesolidnością, z „klęską" wakacji i urlopów paraliżujących życie na dwa miesiące. A przy tym upowszechnia się fałszywa, a dla wielu jakże dogodna opinię, że wszelkiemu złu winni są jacyś „oni", rząd, partia, nie zaś konkretni ludzie, którzy wpierw myślą o własnej wygodzie i korzyściach, a na ostatnim miejscu stawiają obowiązek, społeczną dyscyplinę i swój udział w tworzeniu właściwego ładu.

— Sprowadził więc Pan naszą dyskusję na ziemię. Teraz lepiej rozumiem pański dystans do sporów teoretycznych, o których mówiliśmy na początku. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA

Ryszard Dzieszyński

CHŁOPAK z MIELCA — król prasy polskiej

„Ilustrowany Kuryer Codzienny" był gazetą o wielotysięcznym nakładzie, wydawaną w Krakowie, a rozchodzącą się po całej Polsce, którą można było kupić również w wielu państwach Europy i obu Ameryk. Ktoś obliczył, że w szczytowym okresie powodzenia „Kurier" był czytany przez milion ludzi w różnych miejscach kuli ziemskiej. Była to rzeczywiście gazeta popularna. Początkowo niewielka objętościa, ze skąpymi ilustracjami ręcznie wykonanymi, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę zaczęła wypływać na szerokie wody. Duże wyraziste tytuły i fotografie, a przede wszystkim żywo redagowane artykuły zjednywały mu coraz to większe rzesze czytelników.

Właścicielem „Kuriera" i jednocześnie jego naczelnym redaktorem był Marian Dąbrowski. Ciekawa to postać w dziejach naszej żurnalistyki. Urodził się w 1879 roku w Mielcu. Tam ukończył gimnazjum, po czym przywędrował do Krakowa, gdzie studiował filologię polską na UJ. W 1901 roku rozpoczął pracę dziennikarską w tygodniku „Ilustracja Polska". Potem przez 3 lata uczył w gimnazjum, ale nie zdał egzaminu profesorskiego i zrezygnował z uprawiania tego zawodu. W 1905 roku zaczął pisywać do krakowskiego „Głosu Narodu". W 3 lata potem zabrał się do wydawania własnego pisma, wykorzystując kapitał z posagu żony Michaliny Dobijanki. Przez pewien czas miał kłopoty finansowe, toteż przyszedł mu z pomocą rodak z Rzeszowszczyzny, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego Jan Stapiński, kupując za fundusze otrzymane od bloku konserwatystów galicyjskich (była to podobno pożyczka) połowę wydawnictwa IKC, zastrzegając sobie, że pismo stanie się organem ludowców. Ale po półtora roku Dąbrowski „stanął na nogi" finansowo i rozwiązał umowę ze Stapińskim, a w dodatku wehłonął krakowski dziennik „Nowiny". Potem wszedł jeszcze w kilka innych spółek. Wreszcie w 1923 roku został wyłącznym dyrektorem IKC.

W czasie I wojny światowej pismo przechodziło różne koleje losu, był nawet moment, że władze austriackie zawiesiły jego wydawanie w 1918 roku na 3 miesiące. Dąbrowski nie wiedząc jakie będą dalsze losy IKC, wypowiedział prace personelowi. Ale kryzys szybko minął i IKC wrócił do kiosków.

W 1923 roku Dąbrowski został wyłącznym jego właścicielem i zaczął rozbudowę pisma, sprowadzając nowe maszyny, i zajmując ogromny pięciopiętrowy gmach przy ul. Wielopole. Napływali nowi pracownicy. Jednym z ostatnich żyjących pracowników IKC jest red. Tadeusz Olszewski. Po ukończeniu gimnazjum w Jarosławiu studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i nie mając środków do życia sypiał na dworcu kolejowym. Pewnego dnia zjawił się w budynku IKC, aby wykonać ilustracje do jednego z tekstów na zamówienie brata Mariana Dąbrowskiego. Mieczysława, redagującego dodatek IKC „Kurier Literacko-Naukowy". Wkrótce potem wezwał go sam szef Marian Dąbrowski.

— Młody człowieku, proponuję panu pobory miesięczne w wysokości 200 zł.

Olszewskiego zatkało z wrażenia. Tak wielkiej sumy nie miał przecież nigdy dotąd w rękach! Krzyknął więc tylko:

— Ależ panie redaktorze...

Dąbrowski przerwał mu niecierpliwie:

— Dam dwieście pięćdziesiąt.

Olszewski otworzył usta chcąc powiedzieć, że proponowane mu sumy są wprost zawrotne, ale Dąbrowski nie dał mu dojść do słowa:

— No, niech będzie trzysta.

Gdy Olszewski znowu chciał coś powiedzieć, Dąbrowski odezwał się surowo:

— Niech pan zrozumie, jest pan jeszcze młody. Nie mogę dać panu więcej. Jeśli pan się sprawdzi, na pewno panu podwyższę.

A gdy Olszewski milczał zaszokowany wspaniałością rysujących się przed nim perspektyw finansowych, Dąbrowski rzekł łagodniej:

— No to rozumiem, że doszliśmy do ugody.

— Taki był Dąbrowski — mówił Olszewski. — Wspaniały szef, wymagający ogromnie, ale dbający też po królewsku o swych pracowników. Nieraz sam tego doświadczyłem.

Wydawnictwo IKC rozrastało się w potężny koncern. Zaczęły wychodzić nowe tytuły: kolorowe „Na szerokim świecie" i „As", tygodnik satyryczny „Wróble na dachu", tygodnik sportowy „Raz dwa trzy" i sensacyjny „Tajny detektyw" (wydawany tylko 4 lata), popołudniówka „Tempo Dnia". Wszystkie rozchwytywane przez czytelników, bowiem Dąbrowski miał zawsze najświeższy serwis informacyjny z różnych stron Polski i oczywiście z całego świata.

Przeglądając stare roczniki IKC i innych pism wydawanych przez koncern Dąbrowskiego nie sposób nie zauważyć, że poświęcił on sporo miejsca sprawom lokalnym Rzeszowszczyzny. Prowadził on nawet specjalne Kroniki: Rzeszowską, Łańcucką, Przemyską, Jasielską, Sanocką, Krośnieńską, stanowiące obecnie bogatą kopalnię wiadomości o regionie z tamtego okresu. Widać, że miał on sympatię do rodzinnych stron. Nie należały do rzadkości duże reportaże z Jarosławia, Rzeszowa, Krosna czy Łańcuta, zawsze ilustrowane ciekawymi fotografiami. Pojawiały się w IKC także nazwiska z Rzeszowszczyzny, które zasłynęły potem w literaturze czy plastyce. Dość wspomnieć Jana Wiktora z Radomyśla nad Sanem, którego reportaże często figurowały na pierwszej stronie gazety, czy wzmianki o początkującym wówczas Franciszku Fraczku. W IKC można było oglądać reprodukcje jego prac z wystaw, w których Fraczek uczestniczył, wraz z miłym dla debiutanta komentarzem, że wzbudzają „duże zajęcie" zwiedzających. Podtrzymywały one na duchu i pobudzały twórczą ambicje chłopskiego syna z Żołyni. Można też było znaleźć w IKC artykuły krajoznawcze Franciszka Kotuli z Głogowa Małopolskiego, Kazimierza Gottfrieda z Jarosławia, Romana Reinfussa z Przeworska, Stefana Przybosia z Rzeszowa.

Dąbrowski spłacał dług swemu regionowi nie tylko poprzez popularyzację jego piękna. Pamiętne były dramatyczne reportaże z powodzi, która ogarnęła tamte tereny i zabrała wielu ludziom dach nad głową i dobytek. Reportaże te apelowały o pomoc dla powodzian, a IKC organizował zbiórki pieniędzy oraz żywności i odzieży dla powodzian.

W czasie II wojny światowej Marian Dąbrowski przebywał na emigracji, potem osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, w Miami na Florydzie. Znajomi, z którymi spotykał się, opowiadali mi, że często wspominał rodzinne strony i marzył o tym, aby znowu zobaczyć Kraków i Mielec. Ale marzenie to nie spełniło się. Dąbrowski zmarł w 1958 roku.

Repr. JADWIGA RUBIŚ

Korzenie światopoglądu (6)

Tolerancja i konsekwencja

Okres narodzin i rozwoju chrześcijaństwa jest związany nie tylko z dojrzałym hellenizmem i jego wysoko rozwiniętą filozofią, ale również z rozkwitem imperium rzymskiego. Poszukiwano takiej formy religii, która by zjednoczyła wszystkich poddanych cesarza niezależnie od ich pozycji społecznej — od Brytanii po Babilon, i od Germanii po Egipt. Zadanie nie było łatwe i poszukiwania trwały długo.

Początkowo miał wszystkich jednoczyć kult cesarzy, łączony z religią miejscową. Stolica imperium jednoczącego wiele narodów była nie tylko skupiskiem przedstawicieli wielu ras i narodów, ale zarazem wyznawców różnych religii, świątyń i kapłanów. Wszystkie religie działały obok siebie, chociaż głosiły często sprzeczne nauki i rywalizowały o wpływy i stan posiadania. Tolerancja była jednak wynikiem równowagi sił, a nie świadomego zamiaru i nie mogła trwać długo.

Każdy mógł wybrać sobie religię z całego wachlarza możliwości lub odrzucić wszystkie, jak np. Lukrecjusz. Pojawiła się nawet moda na egzotyczne wyznania. Około połowy I wieku, żołnierze Pompejusza walczący z Persami, przynieśli do Rzymu kult boga Mitry. Kult ten w II—III wieku ogarnął całe cesarstwo, stając się główną religią i silną konkurencją dla chrześcijaństwa.

Mitra był archaicznym bóstwem astralnym, wywodzącym się być może jeszcze z Indii, skąd jego kult przywędrował do Babilonu w epoce indoirańskiej. Pierwsze inskrypcje z jego imieniem, odkryte w Kapadocji, pochodzą z XIV w. p.n.e. Ten starożytny bóg słońca, początkowo był tylko jednym z aniołów, potem utożsamiano go ze słońcem, bóstwem światła i źródłem życiodajnej siły. W IV w. p.n.e. stał się głównym bogiem mitraizmu, a w końcu opanował cesarstwo rzymskie.

Ta zapomniana dziś religia napsuła krwi pierwszym chrześcijanom, a była tępiona tak bezwzględnie, że Babilon, skąd przybył Mitra, jest do dzisiaj synonimem wszelkiego zła. Niewiele chyba brakowało, by szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Mitry. Tym bardziej że wiele cech tego boga może wydać się nam znajome.

W Rzymie Mitra otrzymał łacińskie miano Sol Invictus, czyli Słońce Niezwyciężone. Na jego cześć odprawiano misteria przyciągające tajemniczością i obietnicą zbawienia duszy nieśmiertelnej i zmartwychwstania ciała. Wysoki poziom moralny, chrzest oczyszczający z grzechu i pragmatyczny charakter mitraizmu przyciągały liczne rzesze wyznawców.

Codziennie rano zbierano się na nabożeństwa, podczas których bóg zmartwychwstawał, a wierni głosili radość z jego odrodzenia i brali udział w uczłach dla upamiętnienia różnych faktów z życia Mitry.

Zbyt wiele było cech wspólnych mitraizmu i chrześcijaństwa, by to ostatnie pozostało obojętne. I choć w czasach Konstantyna Wielkiego i Juliana Apostaty, mitraizm stał się główną religią Rzymian, osiągając na przełomie III i IV wieku szczyt potęgi, to już w sto lat później stracił uprzywilejowaną pozycję i stał się mało znaczącą religią w odległych prowincjach, gdzie nie sięgały wpływy chrześcijan. Ślady tego kultu w postaci ruin świątyń występują jeszcze w wielu krajach południowej Europy. Dzięki temu chrześcijaństwo usunęło ostatnią przeszkodę na drodze szybkiej ekspansji.

KRZYSZTOF KUBALA

B.A.G. FULLER:

Uprzednio Persja dała Rzymowi innego jeszcze boga słońca, Mitrę, miłośnika prawdy i sprawiedliwości, toczącego z siłami ciemności nieustanny bój i utrwalenie królestwa boga Ormuzda, który był panem dobra i światła. Był on bogiem żołnierzy, umiłowanym przez przebywające w dalekich krainach legiony rzymskie. Jego to właśnie, gdyby chrześcijaństwo nie odniosło zwycięstwa w walce i z innymi religiami Wachodu, świat zachodni czciłby jeszcze do dzisiaj.

Fakty, plotki...

WETERAN W NOWEJ ROLI

Ambitniejsi widzowie na czele jego bogatej biografii stawiają postać księcia Salina z „Lamparta" Viscontiego; ci zaś, którzy traktują film jedynie jako rozrywkę, jednym tchem mogą wymienić: „Vera Cruz", „Zawodowców" czy „Karmazynowego pirata" jako filmy, które pamięta się szczególnie ze względu na udział tego aktora. Chodzi oczywiście o Burta Lancastera.

Wybitny aktor liczy sobie dziś już... 72 lata, ale wcale nie przeszkadza mu to w czynnym życiu zawodowym. Artysta zdaje się też nie kapitulować przed zadaniami aktorskimi wymagającymi dużej odporności i sprawności fizycznej. Najlepszym dowodem może być najnowszy film z jego udziałem pt. „Na skrzydłach orłów".

Chodzi w nim o to, że emerytowany pułkownik wojny wietnamskiej zostaje zamieszany w porwanie przemysłowca, który jest nie tylko bogaty, ale także zna różne sekrety różnych sekretnych gałęzi przemysłu. Na dodatek porywaczami są irańscy terroryści, zwolennicy ajatollaha Chomeiniego. Lancaster będzie musiał w tym filmie stoczyć walkę wręcz, pojedynek na noże, a także skakać na spadochronie, katapultować się i celnie strzelać...

Plotkarze twierdzą, że nie obejdzie się bez kaskaderów, ale producent zaprzecza, twierdząc, że aktor jest w wyśmienitej formie i zamierza sam wykonać wszystkie, nawet najtrudniejsze zadania. Sam Lancaster milczy, a jedyną informacją z jego ust na temat batalistycznego przedsięwzięcia było stwierdzenie, że i tak wszystko zależy od... pogody.

Złośliwi natychmiast podchwycili tę uwagę twierdząc, iż jest to ze strony Lancastera aluzja do nieudanego desantu komandosów amerykańskich, którzy przed kilku laty mieli odbić przetrzymywanych w Teheranie zakładników amerykańskich. Jak pamiętamy burza piaskowa pokrzyżowała wówczas tragicznie plany odbicia więźniów.

Czyżby zatem Lancaster był w lepszej formie i miał szczęśliwsze prognozy niż amerykańscy marines?

RAFAŁ GODLEWSKI

Anna Rakuś

DLA LUDZI Z PASJĄ

Można ich często spotkać zaglądających w zakamarki ulic, przyglądających się bacznie zabytkowym obiektom miasta, wertujących stare księgi, dokumenty historyczne. Przeciętnym mieszkańcom Rzeszowa, interesującym się jedynie codzienną egzystencją, nie rzucają się w oczy. Są to ludzie z pasją, pragnący budować przywiązanie do Rzeszowa, jego mieszkańców przez kształtowanie szacunku do jego historii i zabytków. W blisko 300-osobowej grupie tworzą Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa.

Powstało ono jesienią 1979 r. Rozpoczynało działalność w kryzysowym początku lat osiemdziesiątych. Trudno się dziwić, że o Towarzystwie niewiele było słychać. Życie utrudniało realizację planów i aspiracji społeczników. Dziś podejmują już konkretną działalność według programu dostosowanego do potrzeb miasta oraz możliwości Towarzystwa. Kiedy się wie, co się chce osiągnąć, łatwiej dążyć do celu — twierdzi przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Rzeszowa Wiesław Grzegorczyk.

Na plan pierwszy wysuwa się niewątpliwie popularyzacja wiedzy o mieście. Przeciętny mieszkaniec Rzeszowa niewiele o nim wie. Miasto zna jedynie z obserwacji dnia dzisiejszego. Niewiele może znaleźć publikacji i wydawnictw na temat dziejów Rzeszowa, ciekawostek historycznych. Sam fakt, że niedawno wydana pozycja Franciszka Kotuli „Tamten Rzeszów", cieszyła się takim powodzeniem, świadczy o tym, że głód wiedzy o mieście jest ogromny.

Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa postanowiło wyjść naprzeciw społecznym zainteresowaniom i budować zręby lokalnego patriotyzmu m. in. poprzez wydawnictwa. Na początek, wspólnie z Wojewódzką Biblioteką Publiczną w Rzeszowie udało się wydać w ub. roku materiały do bibliografii Rzeszowa za lata 1944—1968. Plany wydawnicze na obecną pięciolatkę są bogate. Powstały one wspólnie z Krajową Agencją Wydawniczą, środowiskiem akademickim, rzeszowskim Muzeum oraz niektórymi zakładami pracy, a przewidują one druk materiałów historycznych, prac popularnonaukowych dotyczących Rzeszowa, które zapełnią około 500 arkuszy wydawniczych. Ta cenna inicjatywa Towarzystwa zaowocuje już wkrótce nowymi pozycjami książkowymi. W druku znajdują się m. in. prace: Jadwigi Szymczak - Hoff „Życie towarzyskie i kulturalne Rzeszowa w dobie autonomii Galicji", Mariana Malikowskiego „Rzeszowski awans i aspiracje" oraz Juliusza Petrusa „Gorące lata". Administracja terenowa na Rzeszowszczyźnie w latach 1944—49". Najbliższym planem objęte jest także wydanie fragmentów dziennika okupacyjnego Franciszka Kotuli, które do druku przygotował Juliusz Petrus. Ta niewątpliwe ciekawa pozycja nosić będzie tytuł „Rzeszów na co dzień".

Warto też dodać, że staraniem Towarzystwa Przyjaciół Rzeszowa w czterdziestą rocznicę wyzwolenia miasta (w sierpniu 1984 r.) ukazała się jednodniówka „Rzeszów nasze miasto". Planuje się podobne wydawnictwa na kolejne rocznice wyzwolenia Rzeszowa.

Popularyzacja wiedzy o mieście, to nie tylko wydawnictwa, choć one stanowią najtrwalszy dokument historii. Członkowie Towarzystwa podjęli ostatnio trud odszukania nazwisk wielkich Polaków, których losy życiowe splotły się właśnie z Rzeszowem. Ich imieniem planuje się nazywać nowe ulice w mieście, a sylwetki prezentować w specjalnych gablotach. Nie wszyscy zapewne wiedzą, że właśnie z Rzeszowem wiąże się nazwisko bohatera ostatniej wojny mjr. Dobrzańskiego „Hubala", który przez jakiś czas stacjonował ze swą jednostką wojskową w mieście. Już wkrótce poznamy wiele innych nazwisk, w życiorysach których odnaleźć będzie można udokumentowany pobyt w Rzeszowie.

Poznawać je będzie zapewne młodzież, jako że ambicją Towarzystwa jest nawiązanie w najbliższych tygodniach współpracy ze szkołami i utworzenie w nich młodzieżowych kół przyjaciół miasta. Cenna to inicjatywa i wypada tylko życzyć Towarzystwu, by się powiodła. Cóż, atmosferę w mieście tworzą ludzie. Im więcej o nim wiedzą, im bardziej są z nim emocjonalnie związani, tym chętniej włączają się w nurt życia miasta, osiedla. Bardziej rozumieją jego problemy. A tego wszystkiego miastu potrzeba. Rzeszów, który w ostatnich latach rozrósł się niemal błyskawicznie, zyskał mieszkańców, którzy muszą się dopiero uczyć więzi z miastem.

Trzeba podkreślić, że młode Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa nie po raz pierwszy sięga po współpracę ze szkołami. Włączało się ono od początku swego istnienia w obchody jubileuszy i rocznic starych rzeszowskich szkół. W dwusetną rocznicę powstania Szkoły Podstawowej nr 1 im. Adama Mickiewicza, staraniem Towarzystwa z pomocą rzeszowskiego Oddziału KAW, ukazało się jubileuszowe wydawnictwo poświęcone historii i współczesności szkoły.

— Cóż by to było za Towarzystwo, gdyby nie troszczyło się o los zabytków rodzimej kultury — mówi wiceprzewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Rzeszowa Zdzisław Daraż. Gdyby spisać wnioski i dezyderaty z zebrań pod adresem władz oraz zgłoszone przez członków Towarzystwa problemy do prezydenta miasta, powstałaby długa lista tematów, w przeważającej części dotyczących właśnie ochrony zabytków. Pamiętamy przecież niedawno stoczoną batalię o wzniesienie zburzonego przez hitlerowców pomnika Adama Mickiewicza. Zakończyły się sukcesem także starania Towarzystwa o ratowanie murów rzeszowskiego zamku. Prace remontowe obecnie już trwają, a społecznicy nie ukrywają, że chcą także doprowadzić do udostępnienia historycznych murów turystom, tworząc wśród nich promenadę i miejsce wypoczynku, także dla mieszkańców miasta.

By powstał pełny obraz Towarzystwa należy powiedzieć także i o tym, że jego członkowie bacznie przyglądają się remontowi rzeszowskiej starówki, renowacji starych cmentarzy, a także zieleni miasta — by nie była bezmyślnie dewastowana. Wiele już ochroniono starych drzew. Często mieszkańcy Rzeszowa zaglądają do nowo wyremontowanej kamieniczki w Rynku, gdzie mieści się siedziba Towarzystwa i podpowiadają działaczom, co jeszcze trzeba załatwić, co ochronić, co uratować przed zaginięciem. To oznacza, że Towarzystwo żyje, że ludzie wiedzą o jego istnieniu, że wierzą w siłę społecznego organizmu — twierdzi kierownik biura Bronisław Lisztoń.

Towarzystwo czyni przygotowania do zaproszenia do Rzeszowa pisarzy związanych z miastem. Marzy się zjazd studentów wywodzących się z Rzeszowa, a uczących się w innych uczelniach kraju, by nie stracić kontaktu z młodymi, którzy po latach na pewno stwierdzą, że rodzinnemu miastu mogą wiele zawdzięczać.

Jan Grygiel

Niecodzienne sprawy—NIECODZIENNE POSTACIE

W wydanym niedawno zbiorze reportaży Adama Warzochy pt. „Wyraz twarzy" autor ukazuje nietuzinkowych bohaterów z różnych środowisk, ludzi niepokornych, twardo walczących o sprawę swego środowiska, a także ludzi zagubionych, nieszczęśliwych, skonfliktowanych ze światem. W tomie znajdziemy także reportaże mówiące o nietypowych, drażliwych sprawach obyczajowych.

Galeria postaci i problemów jest tu bardzo różnorodna — począwszy od bohaterskiej harcerki z Jarosławia z czasów okupacji — Barbary Puzon, której postać Warzocha odtwarza ze wspomnień tych, którzy ją znali, poprzez powojenne losy szlachcica z Witryłowa, Ksawerego Dwernickiego i jego żony z domu Ostaszewskiej, nonkonformistyczne, pełne pasji poczynania społeczne „drapieżnicy", działaczki partyjnej Marii Galantowej ze wsi Kupna nad Sanem, dramatyczne losy osadnika bieszczadzkiego Krzysztofa Ołtarzewskiego aż po dzieje zakonnicy, którą wydalono z klasztoru i która walczy o prawo powrotu do niego.

Jest wśród postaci książki ksiądz, który znalazł się w konflikcie ze swoimi parafianami i członek KC PZPR, bieszczadzki rolnik — usiłujący godzić obowiązki partyjne z pracą na roli.

Reportaże Adama Warzochy nie są gładkie, nie ma w nich łatwego optymizmu. Autor ukazuje ostre konflikty, trudne losy ludzkie. Czasem jest to walka jednostki, z nieufnością i bezdusznością terenowych urzędów i instytucji, często z biernością i konserwatyzmem środowiska, z ludźmi złej woli zapatrzonych w interes własny („Drapieżnica", „W środku coś tępo boli", „Wola Ludu"). Dość niezwykłym tego przykładem jest historia konfliktu parafian ze wsi Rudna Wielka ze swoim proboszczem, zakończona dramatycznym „zajazdem" parafian na plebanię i wyrzuceniem księdza ze wsi. Nie podobał się, bo był dobrym gospodarnym rolnikiem, a w kazaniach mówił o pracowitości, wytrwałości, gospodarności i operatywności. *„Za dużo gadał o gospodarce zamiast o religii" stwierdził jeden z rolników. „Doradzał ludziom jak mają uprawiać ziemię, być może to był błąd. Tu ludzie dziubdziają nie gospodarują, jest nieco szklarni i hodowców lisów. Tutaj ludzie mają do kościoła stosunek kupiecki, w tygodniu odstawią różne świństwa, w niedzielę do kościoła, by pouczestniczyć i znowu dobrze się poczuć na sumieniu. Ksiądz ma rozgrzeszać, nie przypominać, że gdyby w tygodniu byli porządni, pracowici, gospodarni w robocie oraz sumieniu, to nie byłyby potrzebne i te rozgrzeszenia"* — tak ocenił źródło konfliktu miejscowy nauczyciel.

Do ludzi niepokornych należy też były przedstawiciel władzy wiejskiej Józef Kawalec z Kielnarowej, ostro przeciwstawiający się urzędnikom i zwierzchnikom w obronie autorytetu władzy i praworządności. Takim jest Krzysztof Ołtarzewski z Wisłoka Wielkiego, który twardo walczy o swoje racje gospodarcze osadnika z niesolidnością SKR-ów i PGR-ów, z nieufnością i biurokratyzmem przedstawicieli władzy terenowej, taką wspomniana już „Drapieżnica" pełna wigoru, temperamentu i pasji w działaniu dla dobra swojej wsi, inicjatorka czynów społecznych, walcząca z nieudolnością i korupcją.

Jak już wspomniałem, w książce znalazły się także reportaże obyczajowe: o wiejskim amancie, gwałcicielu samotnych kobiet, o rzekomej dewiacji seksualnej nauczyciela, której ofiarą padali uczniowie w pewnej miejscowości i jej społecznych reperkusjach, o problemach małżeństw Rzeszowianek z Murzynami. Jest także sylwetka człowieka chorego psychicznie. Są to reportaże barwne i nieco szokujące niecodziennością spraw.

Adam Warzocha unika w swoich reportażach jednoznacznych ocen, stara się jedynie relacjonować wydarzenia i fakty.

Czyni to jednak nie jako obserwator z zewnątrz, ale spogląda na nie przez pryzmat doznań i ocen ludzi ze środowiska postaci reportażu lub relacji jej samej. Nigdy nie pozwala sobie na własny komentarz. Stara się także, by ludzie, o których pisze mówili własnym potocznym językiem zgodnym z ich mentalnością. Nawet gdy sam prowadzi narrację, nie odbiega od tego języka. Tu autor jednak trochę przesadził. Tworzy jakiś stylizowany język niby wiejski, w którym nie brak rażących ucho nowotworów, stosuje swoisty, wynaturzony szyk zdań. Np. *„Jeden z Wiktorów był porządny, drugi wydawniczy i ten porządny nie miał śmiałości tamiemu odmówić, tak że wszystko stracili* (str. 20). *„Wówczas nastało milczenie i zobaczyła, że tu jest nie tego"*... (str. 28) *„...A potem wstawili do świetlicy „Topaza" i ludzie płakali, gdy ekran się objawił obrazami różnymi pierwszy raz".* (str. 38) *„Po nocach nie spał i w partyzantce"* (str. 39). *„Szło to ładnie do pewnego momentu kiedy zaczął się syf" „Była szansa było w dechę, w dechę, to znaczy w miarę. Potem się rypło i zrobiło się smętnie"* (s. 48). *„Kiedyś tam z góry patrzyłem na człowieka, który szedł na dole po moim polu, proporcje są co najmniej hecne, patrzysz — mróweczka popierdziela"*... (str. 51) *...Siostra żyje w Warszawie na stanowisku wysokim w obliczeniach w energetyce, choć jej się to nie należało. Rzuciła okiem i narysowała głowę i wszystko, popatrzyła i narysowała. Tak, że jej zamiary się nie spełniły, choć jest na wysokim stanowisku i w Warszawie"*... (str. 85).

Takie przykłady można by mnożyć.

To świadome prymitywizowanie języka, nadawanie mu pewnej toporności i nieporadności stosuje autor konsekwentnie we wszystkich reportażach. Jest to chyba za wysoka cena za chęć uzyskania autentyczności relacji. Być może, że Adam Warzocha idzie tropem młodej, eksperymentującej prozy stawiającej na „rewolucję języka", na niszczenie konwencji języka literackiego. Mnie osobiście te poczynania nie przekonują.

Mimo tych zastrzeżeń, uważam „Wyraz twarzy" za książkę wartościową i interesującą. Ukazuje dość wnikliwie życie wsi w południowo-wschodnim regionie kraju, nietuzinkowych ludzi z pasją i charakterem. Reportaże w niej zawarte są obrazowe, mówią o niebanalnych sprawach. Należy się też uznanie dla rzeszowskiego oddziału KAW za jeszcze jeden dowód, że utrzymuje zielone światło dla reportażu w swojej produkcji wydawniczej.

* * *

ADAM WARZOCHA: „Wyraz twarzy" Krajowa Agencja Wydawnicza, Rzeszów 1986 r.

Ludmiła Pietruszkowa

PRZEMIJANIE

To przecież było wczoraj
na fali słońca skra
tak żywo jeszcze drga

— — —

wsiąkamy w czasu topiel
niepostrzeżenie
aż nas uwięzani wspomnień brzask
i zapomnienia zgorzel.

Krzysztof Lipiński

PAMIĘĆ

drzewo harfa Eola
na echo studni
nawija się skrzypiące wiadro chłodu
nie wejdziesz do tej samej wody
nie przeżyjesz na jawie
twarzy ze snu i pragnień
o których trzeba zapomnieć

wiatr mówi i zapomina
drzewo szumi i pragnie
w ślepym lustrze nie usłyszysz nas

kamienie dawnych dni
wietrzeją na rozstajach dróg
milowe ostańce
kiedyś dawno
wędrowaliśmy białą drogą zimy
w innej wsi w dalekim kraju
dziś w trawach śpi zielona pamięć

i woda w urnach starzeje się na próżno

Andrzej Piątek

Powrót do życia

Przyglądając się pałacowi w Dukli, nietrudno zauważyć, jak w miarę upływu lat, zatracał on z wolna swą barokową powierzchowność. Obecnie przejawy przeszłości zauważalne są jedynie w zewnętrznej szacie pałacowego budynku i stojących po jego obydwu stronach oficyn. Natomiast wnętrza, wielokrotnie pozostawiane swojemu losowi, i niekiedy beztrosko przebudowywane, od dawna nie czynią wrażenia zabytkowych.

Zameczek obronny, zbudowany w połowie XVI stulecia, już na początku następnego, został znacznie zmieniony przez jednego z pierwszych swoich właścicieli, marszałka wielkiego koronnego Józefa Mniszcha. Przeminęło sto lat i kolejny z tej rodziny Jerzy Mniszech, za namową swej żony Marii Amelii z domu Brühl, siostry Henryka Brühla, wszechwładnego ministra króla Augusta III, przekształcił renesansowy pałac nadając mu formę barokową, modną wtedy w Saksonii. Ten sam właściciel ozdobił pałacowe wnętrza galerią obrazów, a także wzniósł w pobliżu budynek dworskiego teatru.

Po śmierci Jerzego Mniszcha pałac w Dukli otrzymała jego córka Józefina, która wkrótce sprzedała go hrabiemu Józefowi Ossolińskiemu. W XIX stuleciu zabudowania pałacowe były kolejno własnością rodzin Stadnickich, Męcińskich i Tarnowskich, które z wolna podupadając, nie przyczyniły się zbytnio do zachowania wyglądu pałacu z lat jego świetności. Powolny upadek przyspieszały pożary, a w latach pierwszej wojny światowej działania bitewne. Najbardziej ucierpiał budynek pałacowy i ogród dworski. Prawie nie naruszone zachowały się jedynie obie oficyny i stajnia koni cugowych.

Po wyzwoleniu w 1945 roku zbyt często zmieniały się przedsiębiorstwa użytkujące pałacowe budynki, aby to nie pozostawało bez wpływu na postępujące zniszczenia. Gospodarowały tutaj państwowe gospodarstwo rolne i nadleśnictwo, placówka „Ruchu" i klub sportowy, ognisko muzyczne i zakłady przemysłu terenowego. Słowem każdy, kto w Dukli potrzebował siedziby, brał w posiadanie pałac wraz z ogrodem, gdzie w miejscu przepięknych kwietników alei, wkrótce powstało boisko i ośrodek wypoczynkowy. Opodal pasły się konie, bawiły się dzieci, dopełniając jakby miary beztroski instytucji odpowiedzialnych za ochronę zabytków.

Obecnie pałac w Dukli zmienił się nie do poznania. Zawdzięcza to powołaniu tutaj, jeszcze w latach sześćdziesiątych, Muzeum Braterstwa Broni, które na początku zajmowało tylko jedną oficynę, ale później przejęło opiekę nad drugą oraz budynkiem pałacowym i parkiem. Od tamtych lat pracuje nad rozbudową dukielskiego pałacu pan Stanisław Szyndak, kierownik zespołu budowlanego. Pamięta on doskonale wygląd pałacu sprzed ponad dwudziestu lat. Straszył wtedy otworami po nie istniejących oknach i drzwiach, wewnątrz brakowało schodów, nie było dachu, ściany stały zmurszałe i zapleśniałe, a na ostatnim piętrze rosły brzozy.

W 1965 roku odnawianie pałacu rozpoczęto od burzenia niektórych murów, nie mogących już podtrzymywać dwóch pięter, obszernego poddasza oraz dachu, jaki wkrótce położono, pokrywając go blachą. Nadające się do użytku ściany uzupełniono, przebudowując także otwory okienne. Myślano jeszcze wtedy o przeznaczeniu pałacowego wnętrza na hotel turystyczny i prawdopodobnie dlatego nie troszczono się zbytnio o zachowanie stylu, w jakim pałac został zbudowany. Muzeum Braterstwa Broni znajdowało się w jednej z oficyn, najlepiej zachowanej.

Ostateczne przeznaczenie pałacu nadal było przedmiotem rozważań i to zdecydowało o przerwie w jego odbudowie. Trwała ona przez kilka lat. Innym powodem był brak środków. Dopiero w połowie lat siedemdziesiątych przystąpiono do dalszych działań, decydując się na wprowadzenie Muzeum Braterstwa Broni także do budynku pałacowego i drugiej oficyny.

Wtedy pokryto budynek pałacowy tynkiem i zaopatrzono w okna. Pod koniec lat siedemdziesiątych doprowadzono tam centralne ogrzewanie. Ale najwięcej prac wykonano w roku 1984 i następnych. Dachy na oficynach pokryte do tej pory dachówkami, wyłożono blachą miedzianą. Ostatecznie zakończono wszystkie prace w pałacu. Plac wokół niego oporządzono i wysypano grysem. W niedalekiej przyszłości zamierza się dach pałacu pokryć również blachą miedzianą. W latach sześćdziesiątych otrzymał pokrycie blachą cynkową, która nie jest zbyt trwała i już teraz pozostawia wiele do życzenia.

Pokrycie z blachy miedzianej posłuży nawet dwa tulecia! — mówi kierownik zespołu budowlanego Stanisław Szyndak.

Obecnie trwają prace w jednej z oficyn, gdzie kładzione są podłogi i malowane ściany. Znajdzie tutaj pomieszczenie stała wystawa słowacka, obrazująca lata ostatniej wojny. Porozumienie w tej sprawie już nastąpiło i wkrótce muzealnicy słowaccy przystąpią do wyposażenia wnętrza oficyny pałacu w Dukli.

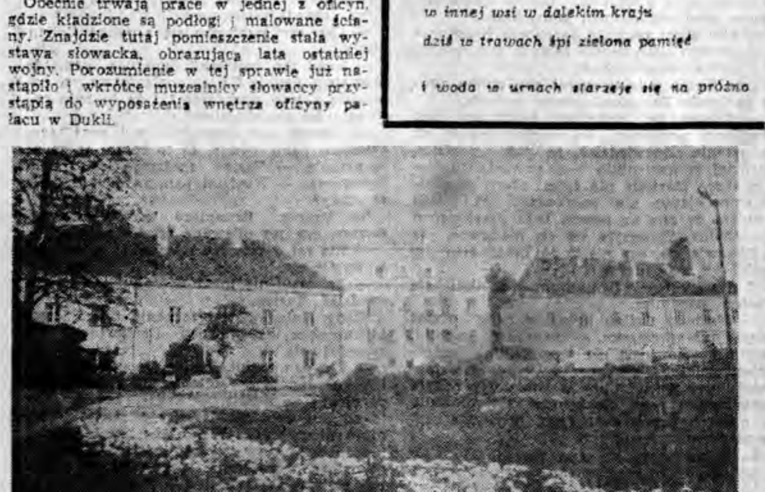

Jeszcze kilka lat temu tak wyglądała dawna rezydencja w Dukli magnackiej rodziny Mniszchów. Fot. WŁ. KIRSZNER

Jubileusz Edwarda Kmiecika

Wystawa rysunków i szkła artystycznego

Czytelnikom „Życia Przemyskiego" **Edward Kmiecik** znany jest od dawna jako autor rysunków prezentujących ludzi, lub też zabawnie komentujących realia obyczajowo-środowiskowe otaczające nas rzeczywistości. Niewielu jednak mieszkańców ponad tysiącletniego grodu nad Sanem wie o tym, że Kmiecik jest także artystą-plastykiem o sporym dorobku twórczym. Cóż: prasa ma więcej czytelników, niż wystawy — widzów...

Prawdziwą fetą 30-lecia twórczości Edwarda Kmiecika stała się, zorganizowana staraniem miejscowego Biura Wystaw Artystycznych w jednej z sal Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej okolicznościowa wystawa rysunku i szkła artystycznego 58-letniego dziś artysty. Na wernisaż przybyli przedstawiciele miejscowych władz, przyjaciele i koledzy ze środowisk twórczych Przemyśla, a także liczni zwolennicy tego rodzaju sztuki, jaką konsekwentnie uprawia artysta.

Na wystawie zgromadzono kilkaset prac — głównie rysunków portretowych i pejzażowych oraz przepiękne, niepowtarzalne egzemplarze artystycznych kryształów, jakie przemyski plastyk wykonał podczas tegorocznego pobytu twórczego w Hucie Szkła w Stroniu Śląskim.

Napisałem powyżej, że wystawa stała się fetą artysty. Nie bez powodu. Popularnego plastyka obsypano bowiem listami, dyplomami, nagrodami i życzeniami, nie mówiąc o kwiatach. I tak: wicewojewoda **Wojciech Władyczyn** wręczył jubilatowi dyplom honorowy oraz specjalną nagrodę wojewody przemyskiego. Prezydent miasta wygotował list gratulacyjny i przyznał artyście doroczną nagrodę w dziedzinie plastyki, o czym wzruszonego laureata powiadomiła kierowniczka Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego **Renata Nowakowska**. Z kwiatami, gratulacjami i życzeniami (co widać na zdjęciu) pospieszył także przewodniczący Rzeszowskiego Oddziału SD PRL **Józef Ambrozowicz**.

Najlepsze gratulacje i życzenia przekazali też artyście — I sekretarz KM PZPR w Przemyślu **Stanisław Sobczuk** oraz dyrektor Muzeum Diecezjalnego ks. dr **Zbigniew Bielamowicz**. Oto siła jednocząca prawdziwej sztuki!

Za nimi, z kwiatami i bez, ale z serdecznymi słowami i przyjacielskimi gestami pośpieszyliśmy do Edwarda in gremio — koledzy, znajomi, dziennikarze i oddani zwolennicy. Jego tyluletniej wśród nas obecności.

Garść biograficznych danych o jubilacie: rocznik 1928, dyplom ASP we Wrocławiu w 1956 (ceramika i szkło artystyczne, do 1962 roku — projektant wzorów w hucie „Violetta" w Stroniu Śląskim, współpracownik „Słowa Polskiego" i „Gazety Robotniczej" we Wrocławiu; w Przemyślu — od 1962 roku, projektant form przemysłowych w „Merze-Polnej", następnie przez 13 lat redaktor graficzno-techniczny „Życia Przemyskiego", z którym do tej pory, po przejściu na emeryturę współpracuje, podobnie jak z „Profilami", „Echem Załogi" w Dębicy, „Glinikiem" w Gorlicach oraz „Chełmkiem" w Chełmku. Wiele wystaw krajowych i zagranicznych, nagród różnego stopnia i odznaczeń — uzupełnia tę próbę nakreślenia króciutkiej sylwetki naszego wypróbowanego i wiernego przyjaciela.

Na jubileuszowej wystawie — dużo przemyskich portretów, pejzaży i akcentów — w rysunkach i szkle. Sztuka to rzetelna, rodem z najlepszych klasycznych wzorów — a więc finezja i niemal XIX-wieczna doskonałość kreski, precyzja, a także głęboko ukryta, ale widoczna skłonność do lirycznej symboliki. Piszącemu tę informację najbardziej podobały się: autoportret artysty, rysunek węglem „Czarna dama", a także „Praskie mosty nad Wełtawą" — pogłos ostatniej, zagranicznej wystawy prac jubilata, zorganizowanej przez Ośrodek Kultury Polskiej w Pradze, w czerwcu br.

Odświętną atmosferę jubileuszowego wernisażu uświetnił kilkoma utworami na gitarę klasyczną pedagog przemyskiej średniej Szkoły Muzycznej mgr **Leszek Suszycki**.

Jubilatowi życzymy wielu nowych, udanych dzieł i twórczych osiągnięć we wszystkich uprawianych dziedzinach sztuki, a także kolejnych okazji do takich wzruszeń, jak te z 6 września bieżącego roku.

Zainteresowanych informujemy, że jubileuszowa wystawa prac Edwarda Kmiecika czynna jest nadal w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej przy Placu Czackiego 3.

TADEUSZ PIEKŁO

NA EKRANACH

C. K. DEZERTERZY

(cz. I-II)

Film ukazuje rok 1918, upadek monarchii austro - węgierskiej. Szeregowiec Kania, służący w prowincjonalnym garnizonie, ma już dość przedłużającej się wojny. Zdemoralizowani, brutalnie traktowani przez przełożonych żołnierze, wolą spędzać czas w miejscowym domu publicznym niż w koszarach. Rodzi się plan operacji „Pierzyna" — zbiorowej dezercji. Pomysłowo przeprowadzona akcja otwiera bramy garnizonu piątce przyjaciół: Polakowi, Węgrowi, Austriakowi, Włochowi i Czechowi. Ich pełne humoru perypetie w podróży po chylącej się ku upadkowi monarchii są treścią nowego filmu Janusza Majewskiego „C.K. Dezerterzy", udanej współprodukcji polsko - węgierskiej. Przypominają nieco barwne przygody słynnego Szwejka, a podstawą ekranizacji stała się książka Kazimierza Sejdy, która po raz pierwszy ukazała się w latach 30-ych, niemal równocześnie z polskim przekładem powieści Haszka. W utworze tym Janusz Majewski znalazł materiał na popularną komedię — gatunek, po który sięga, mimo sukcesów, bardzo rzadko.

Film produkcji polsko - węgierskiej w reżyserii JANUSZA MAJEWSKIEGO.

W filmie wystąpili: **Marek Kondrat, Zoltan Bezerédy, Wiktor Zborowski, Jacek Sas-Uhrynowski, Robert Koltai, Anna Gornostaj, Wojciech Pokora** i inni.

NA CAŁOŚĆ

„Na całość" jest próbą kina akcji, czerpiącego z sensacyjnych kronik policyjnych. Właściwie film ten zaczyna się tam, gdzie kończyło się „Diabelskie szczęście" — nieprzezwyciężonym konfliktem między synem i ojcem, dramatem zawinionym przez jednego i drugiego.

Pretekstu fabularnego dostarczyła głośna przed dwoma laty sprawa młodych bandytów, którzy w Słupsku zabili sierżanta milicji Stanisława Małamuszkę. Zaczęło się od snucia w celi więziennej planów napadów, zdobycia majątku i ucieczki na Zachód, aby żyć w świecie innym, w świecie materialnego komfortu. W filmie wykorzystano niektóre elementy klasycznego filmu gangsterskiego, oczywiście w skali odpowiadającej polskim realiom i obyczajom: kradzieże samochodów, kraksy, porwanie zakładników i ostre ostrzeliwanie. Nie zabrakło też popisów kaskaderskich i pirotechnicznych. Dodatkową atrakcją jest powierzenie niewielkiej roli Joli, byłej dziewczyny Janusza, wicemiss Polski 1985 Brygidzie Bzikiewicz.

Dla podkreślenia autentyzmu większość scen nakręcono w miejscach, gdzie rozegrały się tragiczne wydarzenia, na Wybrzeżu Środkowym i Gdańskim. Główne role odtwarzają debiutanci Robert Inglot i Andrzej Krucz, wybrani spośród 40 kandydatów. Pierwszy ukończył wydział aktorski łódzkiej PWSFTViT, a drugi w czasie zdjęć był studentem drugiego roku wrocławskiej filii krakowskiej PWST. Jedną z epizodycznych postaci — grzybiarza wziętego jako zakładnika — zagrał sam Franciszek Trzeciak. Film produkcji polskiej w reżyserii FRANCISZKA TRZECIAKA. W filmie wystąpili: **Robert Inglot, Andrzej Krucz, Andrzej Żółkiewski, Zdzisław Kuźniar, Bruno Oya, Janusz Klosiński, Danuta Balicka** i inni.

JT.

Julian Ataman

POFRUNMY RAZEM

Ogólnopolska Wystawa Absolwentów Średnich Szkół Plastycznych, druga już z kolei zorganizowana przez Stowarzyszenie Absolwent, wystawa Malarstwa Antoniego Falata i fotografie Ireny Galuszki „Reportaż z Libii" czynne w domu wakacyjnym w naszym Domu Sztuki zasługują na baczną uwagę.

Druga Ogólnopolska, a w dodatku w 10-lecie istnienia, to dla Absolwenta już sukces w takich warunkach, a właściwie bez warunków. Z dóbr materialnych stowarzyszenie posiada przecież tylko prezesa i pieczątkę. Wyszedł nawet w terminie prawdziwy katalog wystawy, a zwykle u nas zdarza się to tylko od czasu do czasu.

Niewielka, jak na ogólnopolską wystawa, dała jednak reprezentatywny przegląd artystycznych możliwości tego środowiska. Nagrody w zakresie malarstwa I dla Stanisława Jachyma, II dla Krzysztofa Wójtowicza stwarzały wątpliwość czy kolejność właściwa. Postawy twórcze artystów podobne, u obu przeważa swoista kontemplacja rzeczywistości. Jest ona dla nich tworzywem, z którego budują własną rzeczywistość. Dla Jachyma jest to przede wszystkim świat form i barw, a sens jego istnienia zawiera się w kolejnych przetworzeniach jego elementów w coraz to nowe kompozycje. Wójtowicz buduje swoje obrazy z dosłownie powtórzonych fragmentów rzeczywistości, tworząc pozornie realistyczny świat, który naprawdę jest metaforyczną wizją artysty. I znów tylko pozornie Wójtowicz jest bardziej czytelny przez ten swój realizm, uroda malarska jego obrazów niemal kokieteryjna zaciera ich sens, na którym autorowi wydaje się najbardziej zależeć. I dlatego Jachym jest bardziej autentyczny i jednoznaczny, chociaż można się tu doszukiwać podobieństw choćby do Taranczewskiego. Dla obu, to co aktualnie prezentują, wydaje się być dobrym początkiem rozwoju artystycznego.

Nagroda III Jana Przybylskiego za obrazy „Bracia" i „Widowisko" wyróżnia się świeżością przetwarzania konwencji współczesnego malarstwa.

Wyróżnienia otrzymali Robert Inglot i Józef Machała. Klasyczne niemal martwe natury Inglota istotnie wyróżniają się, jest w nich coś więcej niż zwykła poprawność malarska, jest ten autentyzm, który pewno pomoże mu znaleźć własny styl, mimo jakby już skądś znanej błękitno - różowej tonacji. Malarstwo Machały surowe — tym właśnie się wyróżnia tryptyk „Spacer", bo już „Widok z okna" jest wygładzony i za ładny.

O pracach nagrodzonych w kategorii grafiki — I nagrodzie dla Ryszarda Blonia za zestaw prac, II nagrodzie dla Stanisława Pary za zestaw ekslibrisów i III dla Bogusława Strzopy za zestaw prac można tylko powiedzieć, że były bardzo dobre.

Oczywiście omówienie prac nagrodzonych i wyróżnionych nie powinno sprawiać wrażenia, że one wyłącznie stanowią o artystycznym obliczu prezentacji, pokazano przecież na wystawie 55 prac malarskich. Pewno, sporo było dzieł mieszczących się w granicach szkolnej poprawności, ale były także prace wyróżniające się dojrzałością świadczącą o autentyzmie malarskiego przeżycia choćby „Kundzia" Ewy Sienkiewicz, prace Jacka Waśko i Jarosława Łyko. Niepokoiły prace Marii Paszczyńskiej, dobre — ale jakby za delikatne, trochę jak poprawny makijaż widoczny dopiero wtedy kiedy go brak.

Określać malarza mianem klasyka, to trochę tak, jakby mu stawiać nagrobek, ale z rzeszowskiej perspektywy jest Antoni Falat klasykiem. Obrazy swe buduje w oparciu o konwencję starej „albumowej" fotografii, tworząc ich malarskie transpozycje. Właściwie można by to pisać w czasie przeszłym, bo chociaż i w latach 80-ych ciągle powtarzają się obrazy w tej konwencji, są to raczej tylko powroty do minionego okresu, sporadyczne ucieczki od współczesności. Aktualne obrazy to już nie eksperymenty formalne i kryjąca się za nimi wieloznaczność skojarzeń, aluzji do współczesności. W aktualnych obrazach utrzymanych ciągle w tej samej czarno - biało - granatowej tonacji nawiązania do konwencji fotograficznej są coraz bardziej odległe, a jeżeli już, to raczej do fotografii współczesnej. Skojarzenia z sytuacją współczesną stają się jednoznaczne („Ucieczka z Egiptu", „Czas Faraonów"). Wydaje się ciągle wracać niepokój o własne miejsce autora w tej rzeczywistości. Jest także rodzaj satyry jak w „Pofrunmy razem". Była to właściwie wystawa retrospektywna pokazano na niej obrazy od roku 1973, a więc od okresu „klasycznego" do roku 1986.

Wystawy fotografii artystycznej weszły już na stałe do repertuaru prezentacji Domu Sztuki. Tak więc „Reportaż z Libii" Ireny Galuszki był w tym zestawie wystaw sprawą normalną. Chociaż nie był to klasyczny reportaż, raczej tematycznie jednorodny zestaw pięknych, doskonałych technicznie fotografii ilustrujących wrażenia autorki. Wydaje się nawet, że za tą techniczną doskonałością i dbałością o piękną formę, jakby zniknęły osobiste emocje wywołane egzotyką i związanymi z nią trudnościami.

BEZ SŁÓW

TELEWIZJA I PRASA W SPOŁECZNEJ OCENIE

„Skąd docierają do Pana(i) informacje o tym, co dzieje się w kraju?" — na to m. in. pytanie odpowiadali uczestnicy ankiety przeprowadzonej w br. przez Centrum Badania Opinii Społecznej nt. polityki informacyjnej. Ponad 85 proc. respondentów wskazało wówczas na telewizję, a 63,5 proc. powołało się na prasę.

Telewizja jest regularnie obecna w domach blisko 74 proc. respondentów. Włączają oni telewizor o stałych mniej więcej porach, najczęściej między 15.00 a 19.30, a na oglądanie programów przeznaczają średnio 2 godziny i 55 minut dziennie. Największą widownię mają, oczywiście, filmy i seriale. Ale zapytani, jakie programy oglądają szczególnie uważnie, respondenci wymieniali: Dziennik Telewizyjny (ponad 45 proc. takich odpowiedzi). Dopiero w dalszej kolejności powoływano się na programy popularnonaukowe, aktualną publicystykę polityczną oraz programy rozrywkowe (ok. 25 proc.). Już tylko niespełna 16 proc. ankietowanych przerywa inne zajęcia w chwili, kiedy rozpoczynają się transmisje imprez sportowych. Nieco rzadziej wymieniano w tej hierarchii publicystykę społeczną i ekonomiczną oraz programy i filmy przyrodnicze.

W obliczu telewizji prasa nie trzyma się najgorzej. Jedynie 10 proc. respondentów stwierdziło, że w ogóle nie czyta gazet. Wśród dzienników największą poczytnością cieszy się „Trybuna Ludu", za nią plasuje się katowicka „Trybuna Robotnicza", zaś trzecie miejsce przypadło w udziale najpopularniejszej w kraju popołudniówce — „Expressowi Wieczornemu".

Na rynku tygodników znaczne jest zróżnicowanie gustów i preferencji. Uczestnicy ankiety otrzymali listę kilkudziesięciu tytułów. Wśród czasopism „nieobecnych", a więc takich, o których respondent nic nie wiedział, wymieniano najczęściej: „Myśl Społeczną", „Wprost", „Odgłosy", „Motywy", „Fakty-86". Wśród tygodników uznanych za potrzebne i poszukiwane przywoływano najczęściej: „Przyjaciółkę", „Kobietę i Życie", „Politykę", „Przekrój" i „Veto", w dalszej kolejności — „Panoramę", „Prawo i Życie', „Kulturę", „Przegląd Techniczny" i „Perspektywy".

Popularność poszczególnych czasopism nie pozostaje, oczywiście, bez związku z ich nakładem. Badacze CBOS sięgnęli więc po tzw. współczynnik renomy, zestawiając odsetek respondentów uznających tygodnik za potrzebny do jego nakładu. Palmę pierwszeństwa zdobył „Przegląd Katolicki" wydawany w niespełna 20 tys. egzemplarzy. Tuż za nim uplasowały się „Wiadomości Sportowe"... Z tygodników poruszających sprawy ogólnokrajowe, znaczące na rynku czytelniczym są przede wszystkim: „Polityka" oraz wspomniany już „Przegląd Katolicki" i „Przegląd Techniczny". (PAP)

KRONIKA KULTURALNA

„SCENA LUDOWA"

Ośrodek Kultury WSI ZMW „Scena Ludowa" w Krakowie, kod 31-136, ul. Sobieskiego 5/7 organizuje warsztat wokalno-muzyczny w dniach 21—28 września w Pucku.

Warsztat prowadzony będzie przez specjalistów od wokalistyki, instrumentalistyki, doboru tekstów oraz innych fachowców, którzy na codziennych zajęciach, realizowanych w grupach specjalistycznych, służyć będą radą i pomocą w podnoszeniu i doskonaleniu umiejętności uczestników warsztatu.

„Scena Ludowa" zaprasza także do udziału w ogólnopolskim konkursie wokalnym „Piosenka zaangażowana" oraz udziela szczegółowych informacji o obu tych przedsięwzięciach.

DOM KULTURY CYGANÓW

W Tarnowie działa jedyny w Polsce Dom Kultury Cyganów. W kółkach zainteresowań i zespołach artystycznych kultywowane są tradycje tej grupy etnicznej. Prowadzona jest także działalność oświatowa, zwłaszcza wśród dzieci.

Prosto w oczy

WAKACJE ZA CUDZE PIENIĄDZE

Trzynastoletnia córka, po powrocie z obozu harcerskiego była uszczęśliwiona. Całymi dniami opowiadała o tak czystym jeziorze, że były w nim raki, o chatkach, manewrach, marszach i wycieczkach oraz innych atrakcjach obozowego życia, gdzie wszystko trzeba było robić samodzielnie.

Ale po pierwszym dniu w szkole — wróciła do domu wyraźnie zgaszona. — Co się stało? — zapytałem. — E, nic takiego... — No, mówże wreszcie! — Od słowa do słowa wydębiłem z niej na koniec, że jest zwyczajnie zawiedziona, gdyż swoimi opowieściami o harcerskim obozie nie może nikomu zaimponować. Dlaczego? Ano dlatego, że więcej niż połowa jej koleżanek i kolegów z klasy była na wakacjach w Belgii i Holandii. — Co ty powiesz? — udałem zdziwienie. — Tak, tak! — skwapliwie potwierdziła. — A ta Zośka to jeszcze wybrzydzała, że tak krótko, tylko trzy tygodnie!

— Trzy tygodnie w Holandii to krótko? — uniosłem głowę znad gazety. — Naprawdę, tato, tak mówiła! Zresztą Zośka jest głupia i wszyscy o tym wiedzą. Ale Agnieszka też narzekała. Że źle trafiła w tej Holandii, że wyjazd jej się nie udał tak, jak w ubiegłe wakacje. Wtedy to sobie przywiozła stamtąd i dżinsy, i dresy, wiesz, różne bluzki, swetry — w ogóle kupę rzeczy! A w tym roku dostała tylko plecak i elektroniczny zegarek...

— Dostała i jeszcze narzeka? A któż to był taki „skąpy"? — z przekąsem zapytała matka. — No, to państwo, do których pojechała — odparła córka. — Jakie znowu państwo, Holandia? — E, mamo, nic nie rozumiesz. Nie jakie, tylko jacy państwo — poprawiła się uczennica siódmej klasy.

Z dalszej rozmowy pomiędzy moimi kobietami dowiedziałem się wreszcie, co „jest grane" z tą wakacyjną Holandią. Otóż większość dzieci z klasy mojej córki uczy się religii w warszawskim kościele (tu nazwa), który organizuje dla nich wakacyjne wojaże do Holandii, Belgii itd. — w ramach socjalnego wsparcia. Dzieci wyjeżdżają do różnych katolickich rodzin, które decydują się pomóc tym zabiedzonym maluchom z kryzysowej Polski...

Przysłuchiwałem się tej kuchennej paplaninie zaciskając zęby. I włos zaczął mi się jeżyć ze zgrozy, gdy dowiedziałem się, że na naukę religii w tym kościele dojeżdżają dzieci z bardzo odległych dzielnic. Nie dlatego, by w ich peryferyjnych osiedlach brakowało katechetów czy kościołów (czego jak czego, ale kościołów to nam nie brakuje — starych, nowych i w budowie), ale dlatego, żeby się „załapać" na wakacyjny wyjazd na Zachód. Taka zimna kalkulacja u małolatów — to wręcz nie mieści się w głowie. Śmiem wątpić, czy tylko dzieci są winne owego cynicznego wyrachowania, jakże odległego od potrzeby ubóstwa, pokory, skromności i powściągliwości, które to prawdy głosi i których naucza kościół.

Moje oburzenie i dezaprobatę podzieliła w wieczornej rozmowie, już bez udziału córki, także i żona. Zgodziła się, że owe wyjazdy w wielu wypadkach przyczyniają się do demoralizowania dzieci. Od małego uczą ich pazerności, zakłamania, rezygnacji z godności własnej, wyciągania ręki po darmowe, krótko mówiąc — po jałmużnę.

Żeby wszystko było jasne: nie mam nic przeciw wakacyjnym wyjazdom dzieci — choćby i do Kalifornii czy na Wyspy Kanaryjskie. Podróże kształcą. Ważne jest jednak i to, czego uczą się dzieci w czasie tych wakacyjnych wojaży. Czy przypadkiem — nie pogardy i lekceważenia dla własnego kraju? Przecież tam, na Zachodzie — wszystko dostają za darmo... Taka nauka pozostaje na długo w pamięci.

Rozumiem, szlachetne intencje i jestem pełen uznania dla ofiarności katolickich rodzin w Holandii, Belgii itd. — które obdarowują biedne dzieci z Polski. Sęk w tym, że wśród wyjeżdżających (po raz drugi i trzeci) są też latorośle rodzin świetnie sytuowanych, np. córka pewnego b. wysokiego urzędnika jednego z ministerstw (nazwisko, proszę Czytelników, nie ma tu nic do rzeczy).

A tak w ogóle — walka o dusze owych małych Kowalskich i Wiśniewskich rozgrywa się, jak widać, coraz częściej na trywialnie materialnym poziomie. Kto da więcej? Nie ma powodu do radości z takich „zwycięstw".

Wyjazd na Zachód — wartość nad wartościami dla wielu dorosłych — zaczyna (za sprawą dorosłych) przywłaszczać także i małolatom...

SCEPTYK

NOWELA KRYMINALNA

ZAGADKOWA ŚMIERĆ MARIETTY

INSPEKTOR DENBERT stał przy szeroko otwartym oknie i czekał, aż ekipa techniczna zakończy swoje czynności. Mimo intensywnego wietrzenia, w mieszkaniu czuć było gaz, który spowodował śmierć Marietty Callan. Leżała w kuchni na podłodze. Letnia, obcisła sukienka opinała zgrabne ciało. Blada twarz okolona ciemnymi włosami mogła jeszcze teraz robić duże wrażenie. Dlaczego taka piękna dziewczyna popełniła samobójstwo? Denbert spojrzał na trzymaną w ręce kartkę.

„Muszę się zdecydować — czytał — nie mam innego wyboru. Zrobię to, choć żal mi tego życia. Sama jestem sobie winna. Zrezygnowałam już z walki".

— Właściwie skończyliśmy — usłyszał za sobą głos szefa ekipy technicznej. — Jedno tylko mnie dziwi. Na wszystkich sprzętach i naczyniach znaleźliśmy odciski palców denatki, tylko na dwóch kieliszkach nie.

— Cóż z tego? — Denbert odwrócił się i wzruszył ramionami. — Ktoś chyba u niej bywał.

— Ne pewno, inspektorze, ale szkopuł w tym, że na dwóch kieliszkach nie ma żadnych śladów.

— Chce pan powiedzieć, że...

— Tak. Dokładnie ktoś te kieliszki wytarł. I co dziwne, są to dwa różne kieliszki. Jeden do wina, drugi do koniaku.

— Wynika z tego, że albo ktoś był obecny przy samobójstwie, albo ktoś zamordował Mariettę Callan — powiedział młodszy inspektor Tasten.

— Tak pan sądzi? — Denbert obrzucił Tastena uważnym spojrzeniem i uśmiechnął się. — Jak pan to sobie wyobraża? Denatka odebrała sobie życie przy świadku? Otworzyła wszystkie palniki kuchenki gazowej, a ten jej świadek przypatrywał się temu i sam uszedł z życiem? Nonsens.

— Nie tak to sobie wyobrażałem. Zresztą, to tylko hipoteza. Ten świadek mógł się początkowo nie orientować w zamiarach denatki, a później przestraszył się i zatarł ślady swojej bytności u niej. Zgadzam się jednak, że to raczej nieprawdopodobne, więc myślę, iż było to zabójstwo. Nie zdziwiłbym się, gdyby sekcja zwłok wykazała, że to nie gaz spowodował śmierć tej Callan. — odparł Tasten.

Sekcja zwłok istotnie potwierdziła w części przypuszczenia młodszego inspektora Tastena. Wykryto, że denatka wypiła tuż przed śmiercią pewną ilość wina z domieszką silnego środka nasennego. I była w czwartym miesiącu ciąży.

Inspektor Denbert pokiwał głową i westchnął Tastena.

— Miał pan poniekąd rację — powiedział. — Jedyną zagadką jest ten pożegnalny list.

— Jest pan pewny, że był to list pożegnalny?

— A cóż innego? — Denbert sięgnął po akta. — Treść wyraźnie wskazuje na desperację denatki. Jest to zrozumiałe, zważywszy jej stan. Ojcem dziecka jest widocznie człowiek, który ją porzucił, dowiedziawszy się o ciąży. Niewykluczone, że umyślnie zażyła środek nasenny, aby nie móc zmienić decyzji.

— Mogłoby tak być, gdyby nie ten drugi kieliszek. Poza tym, po cóż samobójca miałby wycierać ślady swoich palców?

— Może po to, żeby samobójstwo upozorować na morderstwo?

— Denbert postukał palcem w akta. — Historia kryminalistyki zna takie przypadki. Zemsta zza grobu.

Tasten wzruszył ramionami.

— Jakoś mi to do tej dziewczyny nie pasuje. — Wyciągnął rękę. — Mogę przyjrzeć się listowi?

Denbert podsunął mu akta.

Tasten oglądał w skupieniu białą kartkę.

— To nie jest papier listowy — odezwał się po chwili. — Rodzaj papieru wskazuje na to, że pochodzi z jakiegoś zeszytu, czy może notatnika i został zeń wyrwany.

— Nie świadczy to absolutnie o niczym — zawyrokował Denbert. — Kartkę mogła wyrwać z czegokolwiek.

— A czy znaleziono takie cokolwiek? — nie dawał za wygraną Tasten. — Nie przypominam sobie.

— Do diabła! — Denbert uderzył dłonią w stół. — Jest pan uparty jak muł? Ale ma pan rację. Trzeba jeszcze raz przeszukać mieszkanie! Pan to zrobi, Tasten!

Tasten przeszukał mieszkanie Marietty Callan niemal centymetr po centymetrze, nie znalazł jednak żadnego bloku listowego, żadnego notatnika czy zeszytu, którego format i gatunek papieru pasowałby do listu pożegnalnego. Denbert był wyraźnie zawiedziony, lecz zgodził się na przesłuchanie kręgu znajomych denatki. Bliższej rodziny, poza matką, żyjącą w Australii ze swoim drugim mężem, nie posiadała. W dużej firmie budowlanej, gdzie była sekretarką dyrektora handlowego, najwięcej dowiedział się Tasten od jej najbliższej przyjaciółki, Ewy Straw.

— Marietta miała bardzo miłe usposobienie — zeznała. — Wszyscy ją lubili, nie miała żadnych kłopotów w pracy, za to pomagała innym pozbywać się kłopotów. Dyrektor Brasquer nadzwyczaj ją cenił. Sądzę nawet, że darzył ją wyjątkową sympatią.

— Jak pani to rozumie? — podchwycił Tasten.

— No... po prostu ją lubił. Od kilku tygodni zabierał ją ze sobą w podróże na konferencje z klientami, często pracowali razem poza normalnymi godzinami.

— Czy sądzi pani, że dyrektora Brasquera i Mariettę Callan mogło łączyć coś więcej niż dobra współpraca?

Ewa Straw uciekła wzrokiem, potem nagle spojrzała Tastenowi prosto w oczy.

— Szkoda, że dyrektor Brasquer jest chwilowo nieobecny, bo mógłby panu na to pytanie odpowiedzieć, że tak powiem, bardziej kompetentnie — powiedziała. — Ale skoro Marietta nie żyje... skoro popełniła samobójstwo, nie zaszkodzę jej, jeśli powiem, że ona na pewno była dyrektorowi przychylna. Zwierzyła mi się niedawno, że zastanawia się, czy wyjść za Brasquera, bo zrobił jej taką ofertę.

Z dyrektorem Brasquerem spotkał się Tasten nazajutrz.

— Marietta Callan była dla mnie czymś więcej niż sekretarką. — Brasquer, wysoki, szczupły mężczyzna nie wyglądał na sześćdziesięciolatka. Prezentował się znakomicie i mógł mieć powodzenie u kobiet. — Była moją prawą ręką. Doskonale zorientowana w naszych przedsięwzięciach, pomagała mi w zawieraniu transakcji.

— Tylko tyle? — podjął Tasten.

— Nie rozumiem.

— Chcę zapytać, czy tylko tyle dla pana znaczyła?

— Ma pan na myśli sferę, hmm... pozasłużbową? — Brasquer zmieszał się. — Istotnie, postronnemu obserwatorowi mogło rzucać się w oczy, że jesteśmy ze sobą na innej stopie niż wynikałoby to z uwarunkowań...

— Mogło się wydawać, czy było tak istotnie? — przerwał mu Tasten.

— Czy ma to jakiś związek ze śmiercią panny Callan? — zapytał Brasquer szorstko.

— W wypadku nagłej, tragicznej śmierci wszystko może mieć związek.

— Nie chce pan chyba sugerować, że ja ponoszę winę? Mogę pana zapewnić, że to nie ja byłem powodem jej samobójstwa!

— Więc kto, pańskim zdaniem?

— Nie wiem, może nikt. Jej krok jest dla mnie niezrozumiały.

— Nie wygląda pan jednak na wstrząśniętego.

— Proszę pana — Brasquer uśmiechnął się gorzko — nie zwykłem uzewnętrzniać moich myśli i uczuć. Może to skaza zawodowa, ale tak jest.

— Czy zamierzał pan się z panną Callan ożenić?

— Skąd ten wniosek? Sugeruje pan, że obiecałem pannie Callan małżeństwo, a potem się z tego wycofałem? I że to było powodem jej samobójstwa?

— Niczego nie sugeruję, a poza tym zwracam panu uwagę, że to raczej ja zadaję pytania. — Tasten spojrzał ostro na Brasquera. — Wiedział pan, że denatka jest w ciąży?

Na twarzy Brasquera odmalowało się szczere, czy też udawane zdumienie.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł z wysiłkiem.

— Na razie nie mam więcej pytań — powiedział Tasten.

Kiedy zrelacjonował zeznania Ewy Straw i Brasquera inspektorowi Denbertowi, ten zamyślił się.

— Źle pan zrobił, Tasten, że ujawnił pan Brasquerowi tyle szczegółów — powiedział po chwili ze złością. — Sądzę bowiem, że to on jest zabójcą Marietty. Stała się dla niego niewygodna. Pewno go szantażowała i próbowała wymusić małżeństwo. Brasquera należy niezwłocznie aresztować, bo gotów zatrzeć wszystkie ślady. — Rozemiał się i zatarł ręce. — Taki doświadczony człowiek, z twarzą pokerzysty, jak pan stwierdził, a tak głupio postąpił. Dawno nie mieliśmy tak prostej sprawy.

(cdn)

FILIP MERK